



**SUSAN FOX**

***Uwiedzenie złoŃnicy***

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdyby minęła jeszcze chwila, Madison St. John już nie porozmawiałaby tego piątkowego przedpołudnia z matką przez telefon i cała dalsza historia mogłaby się potoczyć całkiem inaczej.

Madison St. John - atrakcyjna dwudziestotrzyletnia blondynka o szafirowych oczach, powszechnie znana z trudnego, mówiąc najogólniej, charakteru; bogata elegantka z Coulter City w stanie Teksas - właśnie bowiem wychodziła z domu po zakupy. Wyjeżdżała, mówiąc ściśle.

Wyjeżdżała po zakupy swoim luksusowym czarnym cadillakiem, prowadzonym jak zawsze przez Johna, dystyngowanego szofera w granatowym służbowym uniformie ze złotymi guzikami.

Szofer czekał na nią przy otwartych tylnych drzwiach limuzyny, a ona właśnie zamykała za sobą frontowe drzwi domu, kiedy zadzwonił telefon.

Madison zignorowała ten fakt. Pomyślała, że nie będzie się zatrzymywać, gdyż pokojówka może z powodzeniem odebrać telefon i przekazać jej później, kto dzwonił i w jakiej sprawie, a zakupy są czymś z całą pewnością ważniejszym od telefonicznej rozmowy z kimkolwiek ze znajomych. Dlatego spokojnie skierowała się do samochodu.

Nim jednak zdążyła do niego wsiąść, pokojówka Charlene, młoda i bardzo żywiołowa z natury dziewczyna, która pracowała u niej dopiero od trzech miesięcy, to jest od momentu odprawienia, a właściwie wyrzucenia z wielkim hukiem jej poprzedniczki, wypadła z domu i wykrzyknęła:

- Panno St. John!

Madison zatrzymała się. Pomyślała zirytowana, że natychmiast po powrocie z zakupów koniecznie musi poinstruować Charlene o niestosowności podnoszenia głosu w jej domu w ogóle, a w kontaktach z pracodawczynią w szczególności.

Nim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, pokojówka wrzasnęła jeszcze głośniej:

- Telefon!

- Więc odbierz i powiedz, że mnie nie ma - mruknęła zdegustowana Madison.

- Już odebrałam i powiedziałam, że pani jest, panno St. John!

- Przecież wychodzę.

- Tak właśnie powiedziałam, panno St. John. Że pani akurat wychodzi, ale ja jeszcze skoczę przed dom i panią zawołam.

- Zawołasz?

- Znaczy... poproszę - poprawiła się pośpiesznie speszona Charlene.

Madison St. John zmarszczyła brwi i ciężko westchnęła. Pomyślała, że minie sporo czasu, zanim ta trzpiotowata, prostoduszna i mało wyrafinowana w obejściu dziewczyna nabierze w jej eleganckim domu oglądy, przyswoi sobie odpowiednie maniery i stanie się pokojówką z prawdziwego zdarzenia. Oczywiście, jeśli nie zostanie wcześniej zwolniona, i to w trybie natychmiastowym, jak jej poprzedniczka.

Po czym, nie spodziewając się tego piątkowego przedpołudnia żadnego niecodziennego telefonu, spytała bez szczególnego zaciekawienia:

- Kto dzwoni?

- Pani mama, panno St. John! - huknęła podekscytowana Charlene.

- Mama? - z nutką niedowierzania w głosie powtórzyła Madison.

- A jakże, pani Rosalind! - przyświadczyła pokojówka. - Czeka przy aparacie, panno St. John, więc proszę się pośpieszyć!

Cóż, ta mała ma prawo się gorączkować, skoro przepracowała u mnie cały kwartał, a telefon od mojej matki zdarzyło się jej odebrać dopiero po raz pierwszy, pomyślała z goryczą Madison i mruknęła:

- Rozumiem.

Po czym oszczędnym gestem drobnej, idealnie wypielegnowanej dłoni zasygnalizowała szoferowi, żeby czekał, a sama niespiesznym, majestatycznym krokiem prawdziwej damy skierowała się z powrotem do domu

Madison St. John miała dopiero dwadzieścia trzy lata, ale ponieważ większą część dzieciństwa i całą najwcześniejszą młodość spędziła pod rygorystyczną kuratelą swojej babki, Clary Chandler, zachowywała się ponad swój wiek godnie i dostojnie. Starsza pani wpoila jej bowiem, że tylko nieokrzesani prostacy śpieszą się, niecierpliwą, hałasują i w ogóle robią wokół siebie zamieszanie, natomiast ludzi o odpowiedniej pozycji i kulturze bez względu na sytuację obowiązuje powściągliwość.

Dlatego Madison, która usilnie się starała być prawdziwą, dystygowaną damą, nad wyraz dbała o to, żeby się kontrolować i panować nad sobą. Co jej się nawet udawało, jeśli nie wpadła w złość.

Babka, Clara Chandler, była osobą nie tylko do przesady powściągliwą, ale ponadto chłodną, wyniosłą, nieprzystępną, nieczułą i wyjątkowo surową w obejściu. Roztaczała jednak nad wnuczką opiekę aż po kres swojego życia, a kiedy przed pięciu laty zmarła, pozostawiła jej w spadku luksusowy dom w Coulter City, czarnego cadillaca oraz znaczne zasoby pieniądze.

A matka, Rosalind?

Matka piętnaście lat temu pozostawiła ośmioletnią wówczas Maddie pod opieką babki Clary i ograniczyła swoje kontakty z nią do dwu zdawkowych telefonicznych rozmów rocznie: z okazji Bożego Narodzenia i z okazji urodzin. Przy czym, jeśli ten świąteczny telefon regularnie wypadał w grudniu, o tyle ten urodzinowy nie zawsze miał miejsce w odpowiednim czasie, ponieważ Rosalind St. John, skoncentrowana wyłącznie na sobie i własnym intensywnym życiu towarzyskim, niejednokrotnie myliła dzień i miesiąc przyjścia na świat córki z jakimiś innymi datami, ważniejszymi widać dla niej i dlatego wyraźniej zapisanymi w jej pamięci.

Ale cóż, matka i tak była bez porównania bardziej troskliwa od ojca, niefrasobliwego wielbiciela wyścigów samochodowych, atrakcyjnych pań, dobrych trunków i wesołej zabawy, który przed jedenastu laty przysłał córce pocztówkę z Francji i już nigdy więcej nie dał znaku życia. Matka przynajmniej dzwoniła, jak choćby teraz.

Ciekawe, skąd tym razem i po co? - zastanowiła się Madison, zasiadając przy staroświeckim biurku w pokoju jeszcze przez babkę nazwanym „gabinetem” i ujmując odłożoną przez Charlene słuchawkę. Dłoń lekko jej drżała.

Podczas każdej rozmowy z Rosalind mimowolnie, wbrew chęciom, budziło się bowiem w niej - osobie całkiem już przecież

dorosłej i pod każdym względem niezależnej, a w kontaktach ze wszystkimi innymi ludźmi wyniosłej i z pozoru przynajmniej dość pewnej siebie - zawsze budziło się załężnione i zdeorientowane dziecko. Takie nieporadne, zagubione, żałosne „brzydkie kaczątko”, które od małości z całego serca uwielbiało swoją szykowną i atrakcyjną matkę, lecz niestety najzupełniej bez wzajemności.

I które zostało przez nią w którymś momencie dzieciństwa - konkretnie w ósmym roku życia - bez najmniejszych skrępułów porzucone, jako kłopotliwa pamiątka po uwodzicielsko przystojnym, lecz lekkomyślnym i wiarołomnym mężu, jako żywa zawada w swobodnym korzystaniu z luksusów wielkiego świata i uroków eleganckiego towarzystwa.

Nie tylko ręka jej drżała z nadmiaru przeciwstawnych, dobrych i równocześnie złych emocji, ale również głos, kiedy, udając, że nie wie, z kim rozmawia i starając się usilnie o beznamiętny ton, rzuciła w słuchawkę:

- Madison St. John.
- Maddie, kochanie, czemu tak oficjalnie? - rozszczebiotał się po drugiej stronie linii melodyjny damski głos. - Mówi mama!
- Mama? Naprawdę?! - Madison z grubsza opanowała zdenerwowanie i w miarę zręcznie udała coś w rodzaju radosnego zdziwienia.

- Wyobraź sobie, kochanie! I co tam u ciebie ostatnio słychać?

- W porządku, nic nowego. A u ciebie?

- A u mnie nowość! Więcej, prawdziwa sensacja! - oznajmiła rozentuzjasmowana Rosalind i tajemniczo zawiesiła głos.

- Co się stało?

- Wyobraź sobie, wyszłam za mąż!

- Ach, tak - mruknęła Madison.

Ale to przecież nic nowego, pomyślała zgryźliwie, mając wielką ochotę spytać matkę, czy jeszcze nie straciła rachuby i czy jest w stanie jej powiedzieć, po raz który z kolei została mężatką.

Darowała sobie jednak tę złośliwość i rzuciła bez przekonania:

- No, to gratuluje, pani...

- Hastings! - podpowiedziała córce Rosalind, - Jestem teraz panią Hastings, kochanie. Dzięki za gratulacje! A nie zapytasz, kim jest mój obecny mąż?

- No właśnie... Kim?

- Wyobraź sobie, kochanie - pośpieszyła z wyjaśnieniami wniebowzięta Rosalind - że jest on uroczym starszym panem, prawdziwym, klasycznym dżentelmenem w dawnym stylu.

- Ach, tak.



- Ma już dorosłe dzieci.

- Rozumiem.

- I trójkę wspaniałych wnucząt, dwie dziewczynki i chłopczyka. Uwielbia mnie!

- Ten malec?

- Jego dziadek, kochanie! - sprostowała Rosalind, biorąc ironię córki za dobrą monetę. - Wiesz, on po prostu obsypuje mnie podarunkami, kosztownymi podarunkami, bardzo kosztownymi.

- Domyślam się - stwierdziła z lekkim przekąsem Madison, znając interesowność matki, nierozzerwalnie połączoną z upodobaniem do wygody i luksusu.

- To naprawdę zamożny człowiek, kochanie - kontynuowała z uniesieniem i dumą Rosalind. - Autentyczny milioner. Więcej, multimilioner!

- Gratulacje.

- Dziękuję! Wyobraź sobie, kochanie, że on ma aż pięć wspaniałych, superluksusowych rezydencji, rozrzuconych po całych Stanach!

- Ciekawe.

- W jednej z nich właśnie teraz jesteśmy, kochanie, w cudownym, niesamowicie eleganckim górskim kurorcie Aspen w stanie Kolorado. Przyjechaliśmy tu specjalnie na weekend,

wyobrażasz sobie?

- Nnno... tak - potwierdziła po krótkiej chwili

niezdecydowania Madison.

- I dzieci mojego męża też tu przyjadą!

- Aha.

- I wnuki!

- Wnuki?

- Wyobraź sobie, kochanie - zaszczebiotała z tłumionym chichotem Rosalind - że te słodkie maleństwa nazywają mnie babcią!

- Babcią?

- Właśnie! Chociaż naprawdę wyglądam teraz raczej na ich mamusię...

- Wyglądasz teraz na ich mamusię - powtórzyła posepnie Madison i umilkła.

Ogromna szkoda, mamó - pomyślała z przesyconym goryczą wyrzutem - że kiedy naprawdę byłaś mamusią kilkuletniej córki, to absolutnie się nią nie interesowałaś, w ogóle się nią nie zajmowałaś, nigdy jej nie nazywałaś „słodkim maleństwem” i nigdy nie spędzałaś z nią weekendów!

- No i przecież jestem matką! - podkreśliła dobitnie Rosalind.

- Mhm... - mruknęła wyjątkowo enigmatycznie Madison,

ponieważ nie potrafiła zdobyć się w tym momencie na nic więcej.

- I chciałabym spędzić weekend z moją córką! - dodała Rosalind.

- Ze mną?

- No, przecież nie mam innych dzieci.

- Ale... właściwie... - Madison, w najwyższym stopniu zaskoczona, wręcz zaszokowana nagłym przypiływem uczuć rodzinnych u matki, z nadmiaru emocji utraciła na chwilę zdolność płynnego wysławiania się i precyzyjnego formułowania myśli. - Właściwie, dlaczego? - wykrztusiła wreszcie.

- No, przecież już tak dawno się nie widziałyśmy, kochanie!  
- zaszczębiotała Rosalind.

- Fakt.

- No i mój nowy mąż, Hastings, nie miał jak dotąd okazji cię poznać.

- Aha.

Madison zaczęła się domyślać, że matka zapraszają na weekend nie tyle z własnej wewnętrznej potrzeby, ile z inicjatywy gustującego widać w życiu rodzinnym i najwyraźniej rozmiłowanego w wielopokoleniowych rodzinnych spotkaniach pana Hastingsa.

- A bardzo chciałby cię poznać! - oznajmiła Rosalind, potwierdzając w ten sposób przypuszczenia córki.

- Naprawdę?

- Wyobraź sobie, rodzina to dla niego najważniejsza sprawa w życiu!

- Rozumiem.

Dla tego twojego multimilionera, pana Hastingsa, liczy się rodzina - pomyślała Madison - a dla ciebie, mamo, liczą się jego pieniądze, więc chociaż nigdy nie byłam ci potrzebna i nie przeszkadzało ci zupełnie, że nie widzimy się całymi latami, to nagle, żeby jemu zrobić przyjemność, wymyśliłaś sobie to spotkanie.

- Kochanie, to wspaniale! - wykrzyknęła uradowana Rosalind.

- Że co? - Madison jakoś nie bardzo mogła zrozumieć, z czego właściwie jej matka tak się cieszy.

- Że tak wspaniale się rozumiemy! I że zgodziłaś się przyjechać!

Zgodziłam się? - zadała sobie w myślach pytanie zdezorientowana Madison St. John. Naprawdę już się zgodziłam? Wielka szkoda, że nawet nie pamiętam, w którym momencie to się stało.

- Czekam na ciebie w Aspen!

- W Aspen?

- To naprawdę cudowne miejsce, kochanie! -

rozszczebiotała się pełna najwyższego zachwytu Rosalind. - I mój nowy, niesamowicie bogaty mąż ma tutaj taką luksusową rezydencję!

- Więc? - rzuciła Madison, chcąc zyskać trochę na czasie i zebrać jakoś myśli.

- Czekamy na ciebie!

- Kiedy?

- W weekend.

- Ale w który?

- W ten najbliższy, oczywiście!

- Mamo, ale przecież dzisiaj jest już piątek - zauważyła Madison.

- No to co? Podjedziesz do San Antonio, wsiądziesz do samolotu...

- Przecież nie mam rezerwacji.

- Kochanie, nie przejmuj się tym, na pewno jeszcze będą wolne miejsca na jakiś popołudniowy lot do Aspen! - Dla rozentuzjasmowanej pani Hastings nie istniały żadne przeszkody.

- A jak nie?

- Nnno... To wynajmiesz sobie w San Antonio awionetkę! - stwierdziła Rosalind po sekundzie wahania. - Wiesz, taką powietrzną taksówkę. Goś wymyślisz, przecież bystra z ciebie dziewczyna. Pa!

Rosalind Hastings, obawiając się najwyraźniej, że córka zacznie mnożyć zastrzeżenia i w końcu jeszcze wykręci się od przyjazdu do Aspen, szybko pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

- Pa, pa... - mruknęła posepnie Madison.

Przypomniała sobie z bólem serca, że przed piętnastu laty jej matka opuściła dom babki Clary Chandler dokładnie z takim samym pośpiechem, z jakim teraz zakończyła telefoniczną rozmowę.

Byleby tylko nie wysłuchiwać żalonych płaczów porzuconego dziecka.

Byleby tylko mieć już kłopot z głowy. Raz na zawsze.

Madison St. John nie odziedziczyła, niestety, po matce łatwości w pozbywaniu się problemów. Dlatego zrezygnowała z planowanego wcześniej wyjazdu po zakupy i na całą resztę piątkowego przedpołudnia zamknęła się w swoim pokoju, żeby rozważyć, co powinna zrobić.

Lecieć na weekend do Kolorado?

I wspólnie z Rosalind, która najwyraźniej starała się pozować na troskliwą, rozkochaną w córce mamusię, odegrać niesmaczną, żalosalną komedię przed panem Hastingsem i jego rodziną?

Więc może zostać w Teksasie?

I stracić w ten sposób jedyną być może okazję na spotkanie z

matką?

Wszystkie porzucone dzieci całymi latami nieustannie marzą o tym, że rodzice kiedyś do nich wrócą albo je do siebie zabiorą. Madison St. John nie była tu wyjątkiem. Jako mała dziewczynka, a potem jako nastolatka, też ciągle czekała na cud.

Na przykład na to, że ojciec, którego prawie nie pamiętała, bo tak dawno zniknął z jej życia, napisze do niej długi list z Francji czy z jakiegoś innego odległego zakątka ziemskiego globu.

Albo na to, że matka przyjedzie po nią z wielkiego świata do prowincjonalnego Coulter City w stanie Teksas i wywiezie ją z ponurego domu rygorystycznej i zgryźliwej babki Gary w jakieś weselsze, sympatyczniejsze miejsce.

Inaczej mówiąc, Madison wciąż się łudziła, że kiedyś w końcu zazna ojcowskiej i macierzyńskiej miłości i troski, a przynajmniej akceptacji, zainteresowania i sympatii, że zazna jeszcze w życiu jakichkolwiek, choćby najmniej intensywnych, najbardziej powierzchownych rodzicielskich uczuć, których zawsze, od małości, tak bardzo, tak boleśnie jej brakowało!

Kiedy wydorosła i usamodzielniała się po śmierci babki, zdała sobie jednak sprawę, że cuda się w życiu nie zdarzają. I wtedy z ironicznym dystansem i wyjątkowym krytycyzmem zaczęła odnosić się do wszystkiego, co mogło mieć związek ze sferą uczuć. Z rozmysłem starała się żyć bez emocji, unikając

uniesień i wzruszeń.

Konsekwentnie chroniła się przed zranieniem jej uczuć w niewidzialnym wprawdzie, niemniej wyjątkowo twardym pancerzu nieufności i sarkazmu.

Z założenia nie bawiła się w żadne sentymenty i nie oczekiwała od ludzi niczego więcej ponad to, za co była im w stanie zapłacić.

A jednak w głębi duszy wciąż miała nadzieję.

Na co właściwie?

Może właśnie na taki telefon od Rosalind, jak ten dzisiejszy?

Dlatego, wbrew rozsądkowi, który podpowiadał jej, że wyjazd do Aspen nie ma sensu, bo spotkanie z matką nie zmieni niczego na lepsze, a tylko niepotrzebnie rozbudzi stłumiony ból i rozjątrzy zadawnione rany, zaczęła przygotowywać się do podróży.

To znaczy poleciła Charlene, żeby natychmiast spakowała jej rzeczy na weekend, a sama zaczęła się dodzwaniać do kas portu lotniczego w San Antonio.

Niestety, dowiedziała się, że jeśli chodzi o przeloty do Kolorado, wszystkie miejsca na piątek i sobotę są już od dawna zarezerwowane.

W pierwszej chwili po odłożeniu słuchawki wzruszyła tylko ramionami i mruknęła sama do siebie z rezygnacją:



- Cóż, trudno.

Już za moment jednak zaczęła nerwowym krokiem przemierzać gabinet tam i z powrotem, zastanawiając się, co jeszcze byłaby w stanie zrobić.

Przypomniała sobie sugestię matki, że w razie trudności ze zdobyciem biletu na rejsowy samolot może wynająć powietrzną taksówkę.

- Wynajmę! - stwierdziła głośno i dobitnie, chcąc się w ten sposób umocnić w przekonaniu o słuszności podjętej decyzji.

Wynajmę awionetkę i polecę na weekend do Aspen bez względu na koszty, kłopoty i konsekwencje! - dodała już w myślach.

Znów zadzwoniła na lotnisko w San Antonio, łącząc się tym razem nie z kasami biletowymi, lecz bezpośrednio z dyspozyturą lotów.

Okazało się jednak, że wyczarterowanie awionetki również nie jest możliwe, ponieważ wszyscy powietrzni taksówkarze zostali już na bieżący weekend zaangażowani przez rozmówanych w podróżach zamożnych Teksaszczyków z San Antonio i okolic.

- Więc, co ja mam zrobić, skoro muszę być dzisiaj wieczorem w Aspen?! - wykrzyknęła zirytowana w słuchawkę. -

Jakie mam wyjście?

- Niestety, żadnego w tej chwili nie widzę, miła pani - odezwał się na to irytująco spokojnym i uprzejmym tonem jej rozmówca. - Chyba... żeby... - zawahał się.

- Tak?

- Chyba żeby prezydent Lincoln...

- Dość tego! - wrzasnęła Madison, przerywając flegmatycznemu dyspozytorowi lotów w pół zdania. - Ja mam poważny problem, a pan sobie kpiny urządza! I co tu ma do rzeczy prezydent Lincoln, który nie żyje od stu trzydziestu pięciu lat?

- Ależ, proszę się tak nie denerwować, miła pani. - Aksamitny męski głos w słuchawce był równie spokojny i równie uprzejmy, jak przed chwilą. - Miałem na myśli prezydenta naszego klubu amatorskiego pilotażu z San Antonio, pana Lincolna Coryella, który, o ile mi wiadomo, wybiera się właśnie dzisiaj do Aspen swoim prywatnym dwumiejscowym samolotem.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła uradowana Madison, z emocji zupełnie zapominając przeprosić rozmówcę za swój niepotrzebny wybuch. - Pan Coryell?

Nie znała Lincolna Coryella osobiście, była jednak doskonale zorientowana z krążących po całym Teksasie plotek, że jest to jeden z najbogatszych ranczerów w rejonie San Antonio.

Samotny mężczyzna. Tuż po trzydziestce.

Niesamowity facet, który, wywodząc się z całkiem ubogiej rodziny i nie posiadając w związku z tym żadnych zasobów i żadnego szczególnego wykształcenia ani nawet ponoć matury, doszedł do wielkiego majątku dzięki wyteżonej pracy i wspaniałej głowie do interesów.

Rzadko spotykana umiejętność radzenia sobie z przeciwnościami i pokonywania trudności wyprowadziła Lincolna Coryella z nizin na szczyty i pozwoliła mu stworzyć ogromne ranczerskie imperium, które przy każdej nadarzającej się okazji jeszcze powiększał.

Ostatnio na przykład, odkupił ponoć ziemię w rejonie San Antonio od Reno Duvalla, który ożenił się miesiąc temu z kuzynką Madison, Caitlin Bodine i pilnie potrzebował gotówki, aby dokonać pewnych inwestycji na ich wspólnym ranczu Broken Ground, położonym nieopodal Coulter City.

- Otóż to. miła pani! - odezwał się w słuchawce dyspozytor lotów z San Antonio, równocześnie odpowiadając w ten sposób na zadane przez Madison pytanie i wyrywając ją z chwilowego zamyślenia. - Gdyby pan Lincoln Coryell zgodził się panią zabrać...

- Musi się zgodzić! Ja zaraz do niego w tej sprawie zadzwonię!

- Jeśli wolno mi pani coś poradzić, to raczej proszę się spakować i od razu przyjeżdżać na lotnisko - stwierdził dyspozytor.

- Dlaczego?

- Bo tak jakoś jest, miła pani, że mężczyzna postawiony przez kobietę przed faktem dokonany zazwyczaj kapituluje, wiem to po sobie.

- Wielkie dzięki! - wykrzyknęła Madison, po raz kolejny przerywając swemu uprzejmemu rozmówcy. - Ja już jestem spakowana, zaraz jadę. Tylko, na litość boską, niech pan przypadkiem nie pozwoli panu Lincolnowi Coryellowi odlecieć do Aspen beze mnie! Niech pan go jakoś zatrzyma na lotnisku!

- Zrobię, co będę mógł, miła pani.

- Dzięki!

Podeksytowana Madison cisnęła słuchawkę na widełki i wybiegła z gabinetu.

W gorączkowym pośpiechu zaczęła poprawiać fryzurę i makijaż, i w ogóle szykować się do wyjścia, pokrzykując w trakcie tych przygotowań na Charlene, by poleciła szoferowi natychmiast zabrać jej walizkę i inne niezbędne w podróży rzeczy do samochodu i siadać za kierownicą.

Przejazd z Coulter City do San Antonio nie trwał długo, gdyż

odległość pomiędzy obydwojmi miastami nie była zbyt wielka, a Madison już na wstępie zapowiedziała swemu kierowcy, że ma nie oszczędzać cadillaca, tylko wyciskać z potężnego silnika limuzyny, ile się tylko da.

W San Antonio poleciła Johnowi natychmiast odszukać na lotnisku bagażowego, więc starszawy już kierowca, przyjęty do pracy przed laty jeszcze przez nieboszczkę Clare Chandler, wyskoczył z cadillaca i ruszył na poszukiwanie pośpiesznym truchcikiem.

Kiedy po krótkiej chwili zjawił się z powrotem, prowadząc krępego mężczyznę w roboczym kombinezonie, Madison kazała mu wsiąść do samochodu, odczekać na wszelki wypadek jeszcze pół godziny na parkingu i potem wracać do domu.

Sama natomiast, z torebką na ramieniu i specjalnym skórzanym kuferkiem pełnym najcenniejszych kosmetyków w rękę, w towarzystwie bagażowego, który dźwigał jej spory i mocno wypakowany podróżny neseser, udała się do budynku dworca lotniczego.

- Jestem umówiona na wspólny lot z panem Lincolnem Coryellem, prezydentem klubu amatorskiego pilotażu. Proszę mnie natychmiast do niego zaprowadzić - powiedziała władczym tonem pierwszemu umundurowanemu pracownikowi lotniska, na jakiego natknęła się w hali odlotów.

Dość niepozorny mężczyzna w służbowym uniformie nie ośmielił się zaprotestować. Rzucił tylko:

- Proszę za mną.

Służbowym przejściem posłusznie przeprowadził Madison oraz objuczonego jej walizką tragarza najpierw na zaplecze budynku, a potem na boczną płytę lotniska, na której stała przygotowana do startu awionetka, dwumiejscowa sportowa cessna.

Przy niewielkim samolociku kręcił się wysoki, barczysty mężczyzna w dżinsach i kraciatej kowbojskiej koszuli, przystojny, dość mocno opalony brunet o gęstej, zaczesanej zawadiacko do góry czuprynie i wyraziście zarysowanej dolnej szczęce.

- Pan Coryell? - zapytała go Madison. Zaskoczony mężczyzna zmarszczył krzaczaste brwi i obrzucił ją uważnym, przenikliwym spojrzeniem smoliście czarnych oczu.

- Zgadza się - odpowiedział dźwięcznym basem.

Upewniwszy się, że trafiła właściwie i w istocie ma do czynienia z właścicielem awionetki i prezydentem klubu amatorskiego pilotażu z San Antonio, Madison zastosowała sugerowaną jej metodę faktów dokonanych i pośpiesznie odprawiła bagażowego.

- Moje nazwisko St. John - przedstawiła się, kiedy została już sama z walizką.

- A imię? - usłyszała na to.
- Madison.
- Dobrze wiedzieć - mruknął enigmatycznie Lincoln

Coryell. Po czym zlustrował ją po raz wtóry, zatrzymując przy tym wzrok zdecydowanie dłużej, niż by wypadało, na wysokości jej bioder i biustu.

Co za bezczelny gbur! Co za prostak! - oburzyła się w myślach.

Obawiając się stracić ostatnią szansę na przelot do Aspen, nie ujawniła jednak brunetowi swojej krytycznej opinii na jego temat, lecz przywołała na twarz sztuczny uśmiech i zapytała:

- Wybiera się pan do Kolorado?
- A bo co? - burknął.
- Bo ja też - stwierdziła, z trudem powstrzymując się od

zwrócenia swemu rozmówcy uwagi, że ma do czynienia z autentyczną damą i powinien wysławiać się nieco grzeczniej niż w kontaktach z wulgarnymi kobietami z San Antonio, z jakimi zapewne miał zwyczaj umawiać się na randki, albo z ordynarnymi, nieokrzesanymi kowbojami, jakich zatrudniał na swoim ranczu.

- W takim razie życzę szczęśliwej podróży, panno St. John.
- Dziękuję, panie Coryell. Ale ja chciałabym... to znaczy ja jestem zmuszona - poprawiła się Madison - polecieć do Kolorado

z panem.

- Ze mną?
- Właśnie.
- Niby dlaczego?
- Bo nie mogę już kupić biletu na rejsowy samolot ani

wynająć awionetki.

- Moja cessa też nie jest do wynajęcia - mruknął Coryell.
- Ale leci pan nią do Aspen? - nie dawała za wygraną

Madison.

- Ano, lecę.
- I ma pan jedno wolne miejsce?
- Ano, mam.
- To niech mnie pan z sobą zabierze. Dobrze panu zapłacę

za ten kurs!

Złożona przez Madison oferta rozbawiła Lincolna Coryella do tego stopnia, że wybuchnął głośnym, tubalnym śmiechem.

- Nie potrzebuję w tej chwili forsy, proszę pani - wyjaśnił, uspokoiwszy się już nieco. - Nie potrzebuję też kłopotów w podróży - dodał. - Dlatego pani nie wezmę, za żadne skarby. Tak się składa, że baby zawsze przynoszą mi pecha w powietrzu!

- palnął na koniec.

- A jak ja ładnie poproszę?

Nie mając już absolutnie żadnego innego wyjścia z



niewątpliwie trudnej, podbramkowej sytuacji, Madison St. John z najwyższym trudem przełamała wewnętrzne opory, odrzuciła swą stałą pozę wielkiej damy, z premedytacją weszła na moment w rolę małej kobietki i z niesmakiem zmusiła się do płaskiej, trywialnej kokieterii.

- Jak poproszę, to zabierze mnie pan do Aspen? - zapytała jeszcze raz i zrobiła tak zwane słodkie oczy.

Kobieca kokieteria, nawet ta najmniej wyrafinowana, najbardziej pospolita, ma to do siebie, że bywa piekielnie efektywna.

Przymilna prośba filigranowej blondyneczki o ładnej buzi i zgrabnej figurce, ubranej na podróż w mocno dopasowane letnie dżinsy w kolorze khaki i czerwoną koszulową bluzkę z cieniutkiej bawełnianej etaminy, podziałała skutecznie także na Lincolna Coryella.

- A niech już się dzieje, co chce! - mruknął zrezygnowany, machnąwszy przedtem ręką.

Madison uśmiechnęła się promiennie i zaszczębiotała:

- Czy mam przez to rozumieć, że...

- Tak, lecimy razem! - potwierdził, zupełnie nieświadomy faktu, że „baba”, którą zabiera na pokład swojej cessny, jest nie tylko atrakcyjną blondynką o szafirowych oczach, ale również rozkapryszoną złośnicą o wyjątkowo kaśliwym języku.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Madison St. John siedziała w samolocie sztywno, jak sparaliżowana. Starła się oczywiście tego nie ujawniać, ale drętwiała wprost ze strachu. Od dziecka cierpiała na lęk przestrzeni i bała się w związku z tym wszelkiego typu samolotów, a już zwłaszcza kruchych i lekkich awionetek. Jednak tak ogromnie zależało jej na szybkim dotarciu do Aspen, że nie pamiętała jakoś o tym, póki nie znalazła się w kabinie cessny, a cessna nie znalazła się w powietrzu.

Na lotnisku samolot Lincolna Coryella wydawał się Madison całkiem okazały, ale teraz, w czasie lotu, robił na niej wrażenie pyłku unoszącego się w przestworzach i bezceremonialnie miotanego każdym silniejszym podmuchem wiatru.

Dlatego nie miała odwagi ani swobodnie usadowić się w przeznaczonym dla pasażera fotelu, ani spoglądać na boki, ani - tym bardziej - zerkać w dół.

Siedziała sztywno, nieruchomo i patrzyła prosto przed siebie, w jeden punkt. I próbowała jakoś opanować nękające ją od samego startu nudności.

Jednak z każdym upływającym kwadransiem lotu czuła się coraz gorzej. Do nudności bardzo szybko doszły zawroty głowy, a jakby tego było jeszcze mało, do zawrotów głowy z czasem

dołączyły dreszcze.

- Oj, jakoś nieszczególnie pani wygląda panno St. John! - zauważył w którymś momencie Lincoln Coryell, skoncentrowany dotąd wyłącznie na urządzeniach pokładowych swego powietrznego wehikułu, a nie na wyglądzie pasażerki.

- Wielkie dzięki za komplement - syknęła zirytowana Madison.

- Nie mam na myśli urody, proszę pani, bynajmniej - uściślił Lincoln. - Ale z kondycją chyba coś kiepsko u pani w czasie lotu, prawda?

- A skąd pan wie?

- Bo taka się pani zrobiła na buzi blada, że aż prawie zielona.

- A ma pan coś przeciwko zieleni? - warknęła. - To przecież podobno kolor nadziei!

- Tak powiadają - zgodził się, z uśmiechem kiwając głową.

- Ale może ja bym jednak na wszelki wypadek wyjął wiaderko ze schowka, gdyby pani musiała nagle pojechać, z przeproszeniem, do Rygi.

- Muszę jechać do Aspen, proszę pana, nigdzie więcej! - stwierdziła dobitnie Madison. I aby zniechęcić Lincolna Coryella do dalszej konwersacji, przymknęła oczy, udając, że śpi.

Nie spała, oczywiście. Pogrzyżyła się tylko w zamyśleniu, co

miało tę dobrą stronę, że zapomniała o niedogodnościach lotu awionetką i fizycznie poczuła się nieco lepiej, natomiast tę złą, że przypomniła sobie najsmutniejszą chyba historię ze swego ogólnie niezbyt wesołego życia i psychicznie poczuła się jeszcze gorzej.

Przypomniała sobie mianowicie tragiczną historię sprzed pięciu lat.

Jako osiemnastolatka kochała się w Beau Duvallu, młodszym synu Sheili Duvall, drugiej żony Jessa Bodine'a. Jess był ojcem Caitlin, przedwcześnie osieroconej przez matkę - piękną Elaine, z domu Chandler. Caitlin była rówieśnicą, kuzynką i najserdeczniejszą przyjaciółką Madison.

Madison kochała się w Beau, natomiast Caitlin go nie znosiła i stale się skarżyła, że ją drażni, a nawet, że jej złośliwie dokucza. Ponieważ jako przybrane rodzeństwo mieszkali w jednym domu i Caitlin nie miała gdzie się przed nim schronić, w chwilach najostrzejszych konfliktów wymykała się na piechotę lub konno w teren i kryła się przed całym światem w jakimś odległym zakątku ogromnego rancza swego ojca - Broken Ground - gdzie mogła się swobodnie wyzłościć i wypłakać.

Jedna z ulubionych kryjówek Caitlin znajdowała się w opuszczonej i na pół zrujnowanej farmerskiej chacie na odludziu. A druga w głębokim skalnym kanionie, na którego dnie płynęła

niewielka, na pół wyschnięta przez przeważającą część roku rzeka.

Przed pięciu laty, po kolejnej domowej awanturze z przybranym bratem, macochą i ojcem, który zawsze faworyzował Beau, natomiast za rodzoną córką z jakichś tajemniczych, sobie jedynie znanych powodów nigdy nie przepadał i ustawicznie ją od siebie odpychał, Caitlin Bodine schroniła się właśnie tam.

Na nieszczęście, wydarzyło się to akurat w chwili, kiedy za sprawą nadciągającej fali powodziowej zbawczy azyl mógł się nagle stać śmiertelną pułapką,

I stał się nią, tyle że nie dla Caitlin, a dla Beau Duvalla, który, powodowany młodzieńczą brawurą, w pojedynkę, wyprzedzając ekipę ratowniczą złożoną z trzech doświadczonych kowbojów, ruszył za nią do zalewanego w błyskawicznym tempie przez wezbraną rzekę kanionu.

Ona uratowała się z topieli, ale on utonął.

Jego matka, Sheila, przy pełnym poparciu Jessa Bodine'a, oskarżyła potem Caitlin o zabójstwo.

Szeryf w śledztwie, a następnie również sędzia na rozprawie, kierując się wiarygodnymi zeznaniami świadków, uznali wprawdzie, że przyczyną śmierci Beau był nieszczęśliwy wypadek, jednak osiemnastoletnia Caitlin Bodine, uwolniona od wszelkich zarzutów przez przedstawicieli prawa, została mimo wszystko wyklęta przez całą rodzinę, a także przez lokalną

społeczność.

Madison, zrozpaczona po śmierci chłopaka, w którym kochała się do szaleństwa, jakkolwiek bez wzajemności, również uznała kuzynkę za winną, znenawidziła ją i zerwała z nią wszelkie kontakty.

Wkrótce po rozprawie sądowej Caitlin Bodine musiała opuścić Broken Ground, gdyż ojciec po prostu wygnał ją z domu. W ciągu pięciu lat, jakie spędziła w odległej od Teksasu Montanie, pracując przy koniach na jakimś ranczu, zmarła na serce jej macocha, a ojciec poważnie zaniemógł.

Kiedy już leżał na łożu śmierci, Caitlin zjawiała się w Broken Ground, wezwana listownie przez Reno Duvalla, starszego brata Beau. Ojciec i córka nie pogodzili się jednak, nawet w sytuacji ostatecznej.

Jess Bodine, jak się okazało, podejrzewał przez całe życie, że to nie on jest biologicznym ojcem Caitlin, tylko jakiś inny mężczyzna, związany grzesznym romanssem z jego pierwszą żoną, Elainą. Dlatego też nie zdobył się nawet na jedno dobre słowo pod adresem córki i w swej niechęci posunął się aż do tego, że usiłował wydziedziczyć ją w testamencie!

Madison spodziewała się, że jej niegdyś ukochana, a później znenawidzona cioteczna siostra, będąc w takiej sytuacji, zniechęci się do wszystkiego i zniknie z Teksasu tak samo nagle, jak się

pojawiła. I to nie na następnych kilka lat, lecz już na zawsze.

Tymczasem Caitlin Bodine została w rodzinnym Broken Ground, by natychmiast po pogrzebie ojca podjąć walkę o należną jej schedę.

Nim jednak zdążyła na dobre ją rozpocząć, nie mówiąc już o doprowadzeniu do końca, uratowała z pożaru stajni na ranczu małego chłopca, Billy'ego Carnesa.

Doznała przy tym dość poważnego uszczerbku na zdrowiu, zyskała natomiast sławę bohaterki i powszechną sympatię całej lokalnej społeczności. A także - miłość Reno Duvalla, swego dotychczasowego wieloletniego wroga i bezpośredniego przeciwnika w sporze o spadek!

Kiedy Caitlin i Reno wzięli ślub i zostali szczęśliwym małżeństwem, nie musieli się już, oczywiście, wadzić o majątek. Zamieszkali razem w Broken Ground, a za pieniądze uzyskane ze sprzedaży Lincolnowi Coryellowi ziemi Duvallów w rejonie San Antonio zaczęli urządzać na wspólnym ranczu ośrodek jeździecki.

Madison St. John była ostatnią w Coulter City i okolicach osobą, która nadal uznawała Caitlin za winowajczynię śmierci Beau Duvalla i nie utrzymywała z nią żadnych kontaktów. Nie potrafiła się przełamać. Chociaż właściwie zdawała już sobie sprawę, że nie ma racji, to mimo wszystko trwała w bezsensownym uporze.

Dlaczego?

Może z żalu za nie spełnioną, bezpowrotnie utraconą, beznadziejną dziewczęcą miłością?

A może raczej po prostu z zazdrości?

Bo Madison nie potrafiła, niestety, skutecznie udowodnić nawet samej sobie, że na pewno nie zazdrości kuzynce odwzajemnionego uczucia, wzruszającego ślubu, który odbył się miesiąc temu, hucznego weseliska, przystojnego męża.

I to chyba było dla niej obecnie w całej tej historii najsmutniejsze i najbardziej irytujące: bezsilność wobec słabości własnego charakteru, a także poczucie osamotnienia w życiu i beznadziejnej pustki w sercu.

Pustki tak samo bezkresnej i tak samo przerażającej, jak powietrzny przestwór, w którym unosiła się krucha i wątła awionetka Lincolna Coryella podczas przelotu z San Antonio w Teksasie do Aspen w Kolorado ponad Wielką Równiną Prerii.

Głęboko zamyślona Madison nie zauważyła nawet, że preria się skończyła, a awionetka nie balansuje już ponad nią w powietrzu, tylko kołuje po ziemi.

Ocknęła się i zorientowała w sytuacji dopiero wówczas, kiedy Lincoln Coryell, po zatrzymaniu samolotu na płycie lotniska i wyłączeniu silnika, huknął jej dźwięcznym basem prosto w ucho:

- Pobudka, panno St. John!



- Jesteśmy w Aspen? - zapytała z nadzieją, rozglądając się dookoła.

- No, co też pani, jeszcze nie! - rozczarował ją Lincoln. - Dopiero się zbliżamy do Gór Skalistych i właśnie mamy międzylądowanie. Rozumie pani, maszynę trzeba zatankować. A i my powinniśmy wrzucić przed dalszą drogą coś na ruszt. Jadła pani dziś lunch?

- Nie - odpowiedziała lakonicznie, po raz kolejny tego dnia dochodząc do wniosku, że jej współtowarzysz podróży jest wprawdzie zamożny i przystojny, ale też nieznośnie gruboskórny i prostacki.

I cóż to ma być za słownictwo! - obruszyła się w myślach. - Jechać do Rygi, wrzucić coś na ruszt. Dżentelmen nie używa takich sformułowań, zwłaszcza w rozmowie z damą. No, ale skoro nie jest się dżentelmenem, tylko bogatym prostakiem...

- Wsiadka! - ponaglił ją Lincoln. - Niech pani się przejdzie do baru i coś zamówi, dla mnie też. Ja zaraz do pani dołączę, tylko załatwię z tutejszymi mechanikami sprawę tankowania cesso.

Nim Madison odpięła pas bezpieczeństwa, dźwignęła się z wysiłkiem na zdrętwiałych z długotrwałego bezruchu nogach i przerzuciła przez ramię podróżną torebkę na długim pasku, Lincoln Coryell zdążył wyskoczyć z kabiny, obiec dziarskim

truchtem samolot od przodu, przystawić drabinkę i otworzyć drzwi od strony pasażerskiego fotela.

- Wysiadka! - powtórzył zniecierpliwiony.

A widząc, że Madison chwieje się niepewnie i nie bardzo wie, jak z dość wysokiego pokładu cessny zejść na ziemię, obłąpił ją bezceremonialnie jedną ręką za plecy, drugą chwycił za nogi pod kolanami i po prostu wyniósł z samolotu.

- Panie Coryell! Niech mnie pan natychmiast postawi! - wykrzyknęła, gwałtownie czerwieniejąc.

- Już się robi, księżniczko - odpowiedział wesoło, wyraźnie ubawiony jej zakłopotaniem. - Wyniosłem panią, bo się bałem, że mi pani tu rymsnie na buzię z tej drabiny. A tak, to nie tylko nic złego się nie stało, ale jeszcze rumieńce wróciły.

- Niech pan nie plecie, tylko natychmiast mnie postawi - powtórzyła Madison, rumieniając się jeszcze mocniej, tyleż z zażenowania, co ze złości.

- Już się robi, księżniczko - powtórzył pojednawczym tonem Lincoln Coryell i pozwolił jej stanąć na własnych nogach.

Chcąc jak najszybciej skorzystać z toalety, odświeżyć się trochę i poprawić makijaż, najszybszym krokiem, na jaki była w stanie się zdobyć, ruszyła w kierunku budynku niewielkiego sportowego lotniska.

- Niech pani koniecznie zje lunch i napije się czegoś

ciepłego, bo z pustym i wyziębionym żołądkiem źle się lata -  
zawołał za nią Lincoln. - I niech pani weźmie dla mnie kawę i  
kanapki.

Dobry sobie, będzie mi tu rozkazywał! - oburzyła się w  
myślach Madison, Po dotarciu do baru złożyła jednak stosowne  
zamówienie.

Lincoln Coryell spałaszował z ogromnym apetytem  
podwójny zestaw sandwiczów i wypił dużą czarną kawę z cukrem  
i śmietanką. Madison St. John pokrzepiła się tosterem, porcją sałatki  
i gorzką, gorącą herbatą. Bak cenny został napełniony paliwem.

Mniej więcej po godzinie samolot znowu unosił się w  
powietrzu. Lincoln czuwał przy sterach, a Madison, wciąż  
wylekniiona, lecz jednak zdecydowanie spokojniejsza, drzemała w  
swoim fotelu, tym razem już naprawdę.

Obudził ją jakiś dziwny, nieprzyjemnie zgrzytliwy odgłos  
silnika cenny, zupełnie inny niż dotychczasowe monotonne  
buczenie.

- Coś się stało? - spytała przerażona.

- Nic. Na razie wszystko gra - odpowiedział przez  
zaciśnięte zęby Lincoln Coryell.

Na razie gra?

Dobre sobie!

A jak za chwilę przestanie? - zaczęła się gorączkowo

zastanawiać. To co zrobimy? Wylądujemy tutaj, zamiast w Aspen?,

Chwileczkę, a gdzie my właściwie jesteśmy?

Zdesperowana Madison odważyła się spojrzeć przez okno awionetki najpierw w bok, a potem z ukosa w dół. Z przerażeniem stwierdziła, że cessa unosi się już ponad Górami Skalistymi.

W dole punktowo bielily się tu i ówdzie w słońcu kamienne wieże i iglice najwyższych szczytów i ciemniały ogromnymi kontrastującymi plamami nasyconej zieleni nieprzebyte lasy, porastające niższe partie gór.

Wszędzie zatem rozciągał się bezludny i dziki obszar, absolutnie niedogodny ani do awaryjnego lądowania, ani do ewentualnego późniejszego oczekiwania na ratunek. .

Tymczasem w silniku znowu coś zgrzytnęło i odległe góry zaczęły się nagle w niepokojąco szybkim tempie zbliżać do awionetki.

Nie, na odwrót! To przecież awionetka zaczęła w niepokojąco szybkim tempie zbliżać się do gór, najwyraźniej tracąc wysokość!

Kiedy oszołomiona Madison uświadomiła sobie ten fakt w całej jego grozie, najpierw poczuła paniczny strach, a potem wściekłość.

- Człowieku, co ty wyrabiasz?! - wrzasnęła histerycznym

tonem na Lincolna Coryella, bez uzgodnienia przechodząc z nim na ty.

- Ląduję - odpowiedział spokojnie.

- Zwariowałeś? Tutaj?

Cessna szybowiała właśnie tuż ponad płaszczyzną lasu, nisko, coraz niżej, nieomal ocierając się kadłubem o wierzchołki drzew. A pilot, zacisnąwszy mocno, aż do bólu, dłonie na drążkach sterowych, starał się ją utrzymać jeszcze choćby przez moment na tej samej wysokości i dolecieć na skraj dość rozległej i w miarę płaskiej górskiej łąki, która rozciągała się o kilkaset metrów dalej.

Ogarnięta przerażeniem Madison nie była w stanie docenić jego wysiłków, Stuprocentowo przeświadczona, że za chwilę nastąpi katastrofa i obydwójce zginą w rozbitym samolocie, wybuchnęła głośnym płaczem i nawet nie zauważyła zbawczego miejsca do lądowania.

- Osłoń twarz! - poleciał jej Lincoln.

Posłusznie przesłoniła oczy rękoma i zaczęła szlochać jeszcze głośniej. Mimo to usłyszała, jak czubki drzew zaczynają drapać spód kadłuba.

I w tym dramatycznym momencie zemdląca.

Lincoln Coryell ocknął się.

Uniósł rękę do góry i dotknął nią niesamowicie obolałej głowy, popatrzył półprzytomnym wciąż wzrokiem na

zakrwawioną dłoń.

Boli! - uzmysłowił sobie. Czuję, że boli mnie głowa, jak dotykam.

I widzę na ręce krew.

To znaczy...

To znaczy, że moja głowa jest rozcięta, skoro boli i krwawi, skonstatował ze smutkiem.

Ale skoro ja to widzę i czuję.

To znaczy, że żyję! - ucieszył się. Bo przecież nieboszczyka nic nie boli, więc skoro mnie coś boli, to znaczy, że ja żyję, powtórzył w myślach. No, a ona? - przypomniał sobie o pasażerce.

Z obawą spojrział w prawo, w stronę Madison.

Tkwiała w swoim fotelu, przypięta do oparcia pasem bezpieczeństwa, z głową opuszczoną bezwładnie, jak u szmacianej lalki.

- Do licha, a może ona złamała sobie kark przy awaryjnym lądowaniu i wyzionęła ducha? - mruknął sam do siebie i chcąc sprawdzić, delikatnie dotknął ramienia Madison.

Uniosła głowę i jęknęła.

- Miło widzieć, że jednak żyjesz, księżniczko! - ucieszył się. I widząc, że Madison ma otwarte oczy i spogląda na niego w miarę przytomnie, zapytał ją: - Wszystko w porządku?

Zanim cokolwiek odpowiedziała, obrzuciła badawczym wzrokiem kabinę samolotu.

Wnętrze prezentowało się mniej więcej tak jak przedtem, jeśli pominąć fakt, że w miejscu szyb były tylko puste otwory, przez które ze wszystkich stron wsuwały się gałęzie. Kabina cessny nie była jednak, na szczęście, zgruchotana ani zmiażdżona.

Madison, ciągle milcząc, ponownie zerknęła na Lincolna.

Miał rozcięte czoło i był bardzo blady, ale poza tym wyglądał całkiem rażno i zupełnie nie sprawiał wrażenia ciężko poszkodowanej ofiary wypadku.

Wciąż bez słowa, poruszyła ostrożnie najpierw jedną ręką, potem drugą, następnie obiema nogami. Wszystko ją wprawdzie bolało, od stóp aż po czubek głowy, ale też wszystko funkcjonowało w miarę przyzwoicie.

- U mnie wszystko w porządku - odezwała się w końcu. -  
A u ciebie?

- U mnie osobiście też w porządku - odparł Lincoln. - Ale z maszyną mogą być kłopoty, bo jest chyba wyciek paliwa.  
Czujesz?

W powietrzu istotnie unosił się charakterystyczny ostry zapach lotniczej benzyny. I z każdą upływającą chwilą robił się coraz intensywniejszy.

- Czuję - przytaknęła Madison.

- Trzeba zmykać - zawyrokował Lincoln. Przerazona odpięła pas bezpieczeństwa i złapała w garść swoją torebkę, natomiast Lincoln Coryell dźwignął się z fotela i z pewnym wysiłkiem otworzył drzwi, które trochę się zakleszczyły, ale na szczęście nie uległy całkowitemu zablokowaniu.

- No, to skaczemy, pasażer pierwszy, pilot drugi! - zarządził. Po czym, nie bawiąc się w zbędną dyplomację, po prostu wypchnął Madison z kabiny.

Wylądowała miękko na czworakach w wysokiej, bujnej trawie. Samolot osiadł bowiem w miejscu, gdzie kończył się już gęsty, zwarty las, a zaczynała się otwarta przestrzeń górskiej łąki. I na szczęście zmieścił się akurat pomiędzy pniami kilku drzew, rosnących tutaj w dość sporych od siebie odległościach.

Nim Madison wyprostowała się i otrzepała garderobę, Lincoln Coryell już był obok niej.

- Zanim się stąd ewakuujemy w bezpieczne miejsce, musimy zabrać co się da z naszych bagaży - stwierdził. - Nie wiadomo, jak długo będziemy czekać na ratunek w tych górach, więc to i owo musimy mieć, żeby przetrwać.

- A jak samolot zaraz wybuchnie? - zaniepokoiła się Madison.

- Ja wejdę do luku bagażowego i będę wszystko stamtąd wyrzucał, a ty po kolei zbieraj i odnoś biegiem jak najdalej, tam,



na łakę - zarządził Lincoln, całkowicie ignorując jej pytanie.

Wspiął się na wrak samolotu, ociekający paliwem, które sączyło się niebezpiecznie z rozbitego baku, otworzył drzwi luku bagażowego i zaczął ciskać po kolei na dół różne dziwne rzeczy.

Linę.

Koc.

Zrolowaną foliową płachtę.

W końcu wyrzucił brezentowy worek ze swoimi rzeczami. I dopiero potem to, na co Madison najbardziej czekała: podróżny kuferek z jej kosmetykami.

Przestraszona, że krucha zawartość kufierka, w postaci buteleczek z perfumami, tonikami, szamponami, odżywkami do włosów i lakierami do paznokci, słoiczków z kremami i balsamami do najrozmaitszych części ciała, pojemniczków z tuszem do rzęs, a także pomadek, konturówek, puderniczek, cieni do powiek i innych upiększających specyfików, mogła ulec zniszczeniu albo w chwili katastrofy samolotu, albo w momencie zderzenia się kufierka z ziemią po energicznym rzucie Lincolna, zupełnie zapomniała o groźbie wybuchu i zaczęła jakby nigdy nie sprawdzać, co się dzieje z jej bezcennymi kosmetykami.

- Do licha! Zabieraj się stąd zaraz, bo jak to wszystko gruchnie, żadne mazidła nie będą ci już potrzebne! - huknął na nią z góry Lincoln.

Po czym wyrzucił jej podróżny neseser i w ślad za nim sam zeskoczył na dół.

- Ewakuujemy się! - zarządził. - Później sobie przejrysz te swoje skarby.

Pośpiesznym truchtem oddalili się od samolotu na bezpieczną odległość, ona z kuferkiem, a on z jej neseserem w rękę. Zatrzymali się dopiero na łące, w miejscu, w którym Madison wcześniej zostawiła linę, koc, płachtę i worek Lincolna.

- I co teraz? - spytała, z trudem chwytając oddech.

- Teraz musimy wybrać z naszych rzeczy to, co najpotrzebniejsze, a resztę zostawić, żeby nie było nam za ciężko iść - oświadczył Lincoln i zaczął robić przegląd swojego bagażu.

Madison wróciła do swoich kosmetyków.

Niektóre opakowania były, niestety, uszkodzone, ale inne na szczęście całe, więc zawartość kuferka wymagała starannego posortowania.

- Dziewczyno! - zniecierpliwiał się Lincoln, widząc, że Madison wyciąga jeden po drugim kolejne kosmetyczne superprodukty i rozkłada je wokół siebie na trawie. - Daj spokój tym cudёнkom i przejrzyj ciuchy.

- Po co?

- Bo musisz wybrać te najpotrzebniejsze!

- Przecież wszystko, co ze sobą mam, jest mi potrzebne -

oświadczyła, wzruszywszy ramionami.

Lincoln wybuchnął głośnym śmiechem.

- Myślisz, że będę ci niósł tę pękatą walizę ileś tam kilometrów przez góry? - zapytał. I nie czekając na odpowiedź, zaczął sam selekcjonować pokaźny bagaż Madison.

- Zostaw!

- A bo co?

- Jak możesz grzebać w moich osobistych rzeczach! - krzyknęła histerycznie i zaczęła odpychać go od otwartego nesesera, w którym, oprócz kilku rozmaitych zestawów wierzchniej odzieży, miała również sporo daytimej i nocnej bielizny.

Lincoln Coryell ujął ją za ramiona, unieruchomił w ten sposób i spojrzał z powagą prosto w jej oczy.

- Dziewczyno, zrozum coś wreszcie! - odezwał się tonem perswazji. - Jesteśmy w samym środku dzikich gór.

- No i co z tego? - burknęła opryskliwie.

- To, że nikt nas tutaj nie znajdzie, nikt po nas tutaj nie przyleci helikopterem ani latającym dywanem.

- Więc?

- Więc musimy - zaczął wyjaśniać - o własnych siłach dotrzeć do takiego miejsca, w którym będziemy mieli szansę spotkać jakichś innych ludzi.

- Na przykład? - napastliwym, prokuratorskim tonem indagowała Madison.

- Na przykład do drogi albo do jakiegoś górskiego schroniska. Możliwe, że będziemy szli długo.

- To znaczy, ile?

- Nawet kilka dni. Dlatego właśnie nasz bagaż powinien być praktyczny i w miarę lekki, i musisz się obyć tymczasem bez kosmetyków i rozmaitych fikuśnych desusów. Ważne, żebyś nie przemarzła i nie otarła sobie nóg. Reszta, to głupstwo. Kapujesz?

Madison St. John w milczeniu skinęła głową. Była zmuszona przyznać w duchu, że gruboskórny Lincoln Coryell ma trochę racji.

I sporą siłę przekonywania.

I wyraziste, hipnotyzujące spojrzenie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Ze znacznej - jak na krótki, weekendowy zaledwie wyjazd - ilości różnego rodzaju garderoby, którą Madison miała w swoim pękatym podróznym neseserze, Lincoln zgodził się zabrać do swojego traperskiego worka właściwie tylko tyle, co nic.

To znaczy?

Dwie pary grubych białych skarpet.

Dwie pary majtek.

Dwie pary rajstop.

Jeden biustonosz.

Dwie pary dżinsów.

Dwie bawełniane bluzki.

Damską podróbkę kowbojskich butów, wykonaną z delikatnej skórki. I, po ostrej interwencji Madison, jeszcze błękitny atłasowy szlafroczek.

- Skoro bagaż już mamy spakowany, to ty zmieli teraz sandaalki na adidas, a ja owinę sobie rozciętą głowę jakąś chustką i ruszamy w drogę, zanim się ściemni zarządził, zawiązując worek.

- I dojdziemy tak na piechotę aż do Aspen? - zaciekała się.

- Na piechotę tak, ale dokąd? - Lincoln wzruszył bezradnie ramionami. - Chyba tylko Bóg raczy wiedzieć, dokąd dojdziemy,

skoro nawet nie mamy pojęcia, gdzie w tej chwili jesteśmy.

Ruszyli, on z okazałym workiem, a ona z niewielką torebką na ramieniu. On jednak z wolnymi rękoma, natomiast ona z kuferkiem pełnym kosmetyków.

- Dziewczyno, po diabła targasz to ze sobą? - zdziwił się.

- Bo widocznie muszę! - burknęła opryskliwie, z trudem dotrzymując mu kroku w szybkim marszu.

- Naprawdę to wszystko jest ci potrzebne?

- A żebyś wiedział!

- Ale po co? Przecież i tak masz całkiem ładną facjatkę, więc nie musisz jej w kółko przemalowywać.

Komplementu sformułowanego w tak oryginalny sposób Madison St. John jeszcze w swoim życiu z całą pewnością nie słyszała. Dlatego nie mogła się zdecydować, czy ma po prostu powiedzieć „dziękuję”, czy się zawstydzić, czy rozzłościć, czy może raczej roześmiać.

W końcu mruknęła cierpko: I - Ta facjatka, jak powiadasz, to przecież jeszcze nie wszystko.

- Ale reszta też jest w najlepszym porządku, przynajmniej jak na mój gust! - zapewnił Lincoln.

- A jaki ty masz gust? - spytała rozbawiona.

- Ja? - zastanowił się. - Wiadomo, męski. A konkretnie, kowbojski!

- Czy to znaczy, że patrzysz na mnie jak na krowę? -  
palnęła.

Lincoln wybuchnął śmiechem.

- Już raczej jak na konia - odpowiedział pół żartem, pół serio. - Znaczy... jak na klaczkę. Dobra kobyłka - zaczął wyliczać - musi mieć zgrabne nogi, szczupłe uda, kształtny zad...

- Dość! - zezłościła się.

- No, przecież sama pytałaś o mój gust.

- Z tym swoim gustem i językiem, to już lepiej mów o czymś innym, niż o kobiecej urodzie.

- Na przykład?

- Powiedz mi, dokąd tak idziemy?

- Nie mam pojęcia.

- A masz chociaż jakiś plan?

- Owszem.

- Jaki?

- Musimy iść stale w dół.

- Dlaczego?

- Bo im niżej, tym łatwiej natknąć się na jakieś schronisko lub chatkę myśliwską, albo na drogę, czy na jakichś ludzi.

Przynajmniej tak mi się zdaje. A ty, jak myślisz?

Madison ciężko westchnęła.

- Myślę, że w dół lżej iść niż pod górę. Ale i tak nogi mnie

bolą.

- Jak się ściemni i zatrzymamy się na noc, to odpoczniesz.

Na razie nie trzeba kwękać, tylko pchać się coraz dalej do przodu!

- Szkoda, że w nowych butach.
- Trzeba było wziąć stare.

- Miałam wziąć stare buty do Aspen? - Madison St. John oburzyła się już na samą myśl o pokazaniu się w słynnym kurorcie i w luksusowej rezydencji nowego, bajecznie bogatego męża nie widzianej od kilkunastu lat matki w sfatygowanym obuwiu.

- Prawda, szykowałam się na paradę, a nie na szkołę przetrwania.

- Właśnie! - przyświadczyła.

- Ale życie cię zaskoczyło, bo takie ono już jest - stwierdził filozoficznie.

- Chcesz powiedzieć, że takie wredne? - spytała naburmuszona Madison.

Lincoln Coryell pokręcił przecząco głową i odparł bez wahania:

- Chciałem powiedzieć, że takie cudowne, księżniczko na ziarnku grochu! A przynajmniej, że takie ciekawe.

Pod koniec dnia, po kilku godzinach marszu po bezdrożach, w dość trudnym, leśnym i górskim zarazem terenie, Madison miała wszystkiego dość i niemal zaczynała żałować, że ocalała z



lotniczej katastrofy.

Przynajmniej już teraz miałabym święty spokój, jakbym od razu wyzionęła ducha, monologowała posepnie w myślach, z wysiłkiem przebierając nogami. A tak, to pewnie też w końcu ducha wyzionę, tyle że z wyczerpania albo z głodu, lub pragnienia. A ile się jeszcze przedtem namęczę!

Miała wrażenie, że jest cała obolała.

I niesłuchanie brudna.

I niedopuszczalnie zaniedbana.

Ona, Madison St. John, zawsze sterylna, zawsze świetnie ubrana, zawsze perfekcyjnie uczesana i umalowana, zawsze pachnąca najlepszymi perfumami!

Ona, największa elegantka w całym Coulter City, niekwestionowana lokalna gwiazda.

Samotna gwiazda, to prawda. Samotna gwiazda o zimnym blasku...

Teraz rozgrzana, aż do przesady.

I teraz w towarzystwie.

Ale w czym, na litość boską!

W towarzystwie gruboskórnego prostaka, przystojnego wprawdzie i bogatego, jednak.

- Jednak prawda, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - odezwał się nagle Lincoln Coryell, wyrywając ją z

zamyślenia.

- Słucham?

- Mówię, że nie ma tego złego... - powtórzył. - Bo pewnie nudziłbym się w tym wymuskanym Aspen jak mops przez cały weekend.

- A tak?

- A tak to przynajmniej poznam trochę Góry Skaliste od podszewki.

- Już ja wolałabym je poznawać z innej strony - stwierdziła Madison. - Na przykład z widokowego tarasu w jakimś dobrym hotelu.

- Pomarzyć dobra rzecz, no nie? - rzucił ze śmiechem. - Ale tymczasem przebieraj trochę szybciej nogami, marzycielko, to może dojdziemy chociaż do jakiejś wody, zanim się ściemni, jak już nie do hotelu.

Madison St. John, spragniona, spocona i zziajana, przebierała i przebierała obolałymi nogami. Aż w którymś momencie zobaczyła nagle przed oczyma wirujące ciemne plamki i po raz drugi tego dnia zemdląca.

Ocucił ją deszcz. Nie, ocucił ją Lincoln Coryell, pryskając jej na twarz wodą wyciskaną kropelkami z kosmetycznego tamponu do demakijażu.

Otworzyła oczy, spojrzała na niego wciąż trochę błędnym

wzrokiem i zapytała cicho:

- Skąd masz ten tampon?

- Z twego ukochanego kuferka - odparł z dobrodusznym uśmiechem.

- A skąd masz wodę?

- Z kałuży.

- Co takiego?! - wykrzyknęła z oburzeniem, błyskawicznie do reszty przytomniejąc. - To ja w domu do mycia twarzy nie używam nawet wody z kranu, tylko mineralną, i to nie każdą, tylko importowaną z Francji, a ty jakby nigdy nic chlapiasz na mnie...

- Dziewczyno, jakbym cię nie ochlapał, to jeszcze byś mi tu uderzyła w kalendarz! - przerwał Lincoln. - Już byłaś blada jak ten trup.

- A teraz?

Nie czekając na odpowiedź, Madison sięgnęła po lusterko, które miała w swoim kosmetycznym kuferku. Spojrzała w nie i jęknęła:

- Boże!

Lincoln parsknął śmiechem.

- I z czego się tak cieszysz, człowieku?! - wykrzyknęła histerycznie i wybuchnęła głośnym płaczem.

Wszystkie składniki makijażu - tusz do rzęs, cień do powiek, podkład, fluid, pomadka - porozpuszczały się i

porozmazywały na jej najpierw spoconej, a potem na domiar złego spryskanej brudną wodą twarzy i utworzyły na niej coś w rodzaju groteskowej maski kłowna.

Z szerokimi, wielobarwnymi obwódkami wokół oczu i ust!

Z fantazyjnymi kreskami na policzkach!

I na domiar złego, z komiczną ciemną plamką na samym czubku nosa!

Ujrawszy w lustrze swoje odbicie, Madison naprawdę zaczęła żałować, że nie zginęła w lotniczej katastrofie. Minę miała przy tym tak smutną i nieszczęśliwą, że nawet gruboskórny Lincoln Coryell zmiękł i próbował ją jakoś pocieszyć.

- Nie płacz. Jak znajdziemy przed nocą jakiś strumień, to się umyjesz - stwierdził.

- No, a jak nie znajdziemy? - wykrztusiła przez łzy.

- Hm... Jak nie znajdziemy, to się ściemni i nic nie będzie widać - skonkludował.

Konieczność umycia się w nie przebadanej bakteriologicznie wodzie ze strumienia, jeszcze kilka godzin wcześniej Madison uznałaby za coś wprost koszmarnego. Jednak teraz, po tym, jak Lincoln bezceremonialnie spryskał jej twarz brudną wodą z kałuży, perspektywa ablucji w górskim potoku wydała się jej tak bardzo zachęcająca, że zmobilizowała ją do natychmiastowego dźwignięcia się na nogi i wyruszenia w dalszą drogę.

Było już prawie całkiem ciemno, kiedy usłyszeli z daleka charakterystyczny miły szmer i natknęli się po niedługim czasie na raczej płytki, lecz wartki i dość szeroki strumień o kamienistym dnie.

Lincoln rzucił swój worek na ziemię, wyciągnął się jak długi na brzegu i zaczął gasić pragnienie, czerpiąc wodę ustami prosto z potoku.

Prawdziwy z niego jaskiniowiec! - pomyślała z dezaprobatą Madison, kręcąc głową. - Chłepce jak zwierzę.

Sama najpierw ostrożnie przykucnęła nad potokiem i najstaranniej, jak tylko była w stanie bez użycia mydła, umyła sobie ręce.

A dopiero potem, nie mogąc odżałować, że nie ma przy sobie jakiegoś turystycznego kubeczka, nabrała trochę wody w garść, żeby się napić. W ostatniej chwili, mimo nieznośnego pragnienia, powstrzymała się jednak. Woda spłynęła jej pomiędzy palcami na ziemię.

- Bez obaw, księżniczko na ziarnku grochu - mruknął Lincoln, zauważywszy jej niezdecydowanie. - Możesz się śmiało napić.

Znużona, przełknęła jakoś w milczeniu jego uszczypliwość. A po chwili przełknęła również pierwszy łyk wody, nabranej drżącą ręką prosto z potoku.

Ta woda, to było po prostu cudo!

Rarytas!!

Delikates!!!

Smakowała jej bez porównania lepiej niż wszystko, co w całym swoim dwudziestotrzyletnim życiu miała okazję pić, nie wyłączając wody mineralnej sprowadzanej aż z Francji, a nawet francuskiego szampana.

Ponieważ woda okazała się wyśmienita, a czerpanie jej garścią - niewygodne, spragniona Madison wzięła przykład z Lincolna, wyciągnęła się na brzegu i zaczęła chleptać wprost z potoku.

Jak zwierzę - powiedziałby w tym momencie ktoś złośliwy, gdyby tylko znał jej wcześniejsze myśli. - Albo jak jaskiniowiec płci żeńskiej.

Cóż, tak czy owak, Madison napiła się do woli. Lincoln również. I nie pozwalając jej odpocząć po trudach wielogodzinnego marszu przez górskie bezdroża, natychmiast zarządził wspólne zbieranie chrustu na ognisko.

- Musimy zgromadzić jak najwięcej opału, żeby jakoś przetrwać noc - stwierdził. - Ogień grzeje i odstrasza dzikie zwierzęta.

Ciarki przeszły Madison po plecach, kiedy usłyszała te słowa. Dzikie zwierzęta, fakt, przecież mogą, a nawet muszą

gdzieś tu być, w tym bezludnym dzikim lesie! - pomyślała ze zgrozą.

Strach przed nocnym napadem jakichś krwiożerczych bestii w paradoksalny sposób dodał jej odwagi i zachęcił ją do energicznego działania.

Z determinacją zbierała więc chrust, chociaż zdawała sobie sprawę, że coś, co wydawało się jej w półmroku zapadającej właśnie nocy suchym patykiem, mogło w istocie być, na przykład, wężem.

A każda najnormalniejsza nawet gałąź, którą po omacku brała do ręki, mogła okazać się siedliskiem leśnych pajaków, mrówek, kleszczy, pcheł albo jakiegoś jeszcze gorszego paskudztwa!

Mimo wszystko, w ciągu mniej więcej godziny, Madison nagromadziła całkiem sporo opału. Choć Lincoln, oczywiście, znacznie więcej. Poza tym ona zbierała tylko drobne, cienkie, lekkie gałęzie, a on przyniósł również kilka grubych i ciężkich konarów, które, po rozgrzaniu się, osuszeniu i rozżarzeniu w ogniu łatwopalnego drobiazgu, mogły płonąć przez wiele godzin, aż do świtu.

- Rozpalimy ognisko jak się patrzy! - stwierdził z satysfakcją. - I będziemy mogli przy nim biwakować jak skauci.

- Albo jak jaskiniowcy - mruknęła cierpko Madison.

Lincoln roześmiał się.

- Tak czy inaczej - odezwał się pojednawczym tonem - będziemy mogli ogrzać się w nocy i bezpiecznie odpocząć. A to się liczy.

- Fakt - przyznała.

Przycupnęła przy stercie chrustu, która dzięki posiadanym przez Lincolna zapalkom wkrótce zaczęła się palić, mocno przy tym trzaskając i iskrząc.

- Jak to dobrze, że miałeś czym rozpalić ten ogień - zauważyła.

- W podróży zawsze warto mieć przy sobie to i owo, na wypadek jakiejś awaryjnej sytuacji - odpowiedział, zasiadając wygodnie po przeciwnej stronie ogniska.

- Na przykład na wypadek awarii samolotu?

- Właśnie.

- A jak myślisz, co się właściwie stało tej twojej awionetce, prezydencie Lincoln?

- Bawi cię moje oryginalne imię? - spytał, pomijając milczeniem sprawę awarii cessny.

- Może trochę.

- Więc mów mi Linc, księżniczko na ziarnku grochu.

Będzie prościej.

- Więc ty mów mi Maddie, i daj sobie spokój z tą



księżniczką.

- Może być. Ja zapominam o księżniczce, a ty o prezydencie. Umowa stoi?

- Stoi.

- No, to możemy sobie dać buzi! - ucieszył się Lincoln.

- Wolnego, pilocie od siedmiu boleści! - Złośliwymi słowami, aroganckim tonem i wyniosłą miną Madison skutecznie ostudziła jego zapęły.

Groźnie naburmuszona, zaczęła zadawać mu jedno po drugim oskarżycielskie pytania, jakie chodziły jej po głowie już od dłuższego czasu, w zasadzie od momentu przymusowej ewakuacji z uszkodzonego samolotu.

Dialog wyglądał tak, że ona wypytywała, a on opędał się od niej jak od uprzykrzonej muchy mniej lub bardziej wyczerpującymi odpowiedziami.

- Dlaczego właściwie nie sprawdziłeś przed startem, czy twoja cessna jest sprawna?

- Wszystko było sprawdzone, ale awaria zawsze może się zdarzyć.

- Dlaczego więc nie wezwałeś pomocy przez radio, kiedy silnik zaczął szwankować?

- Nie było czasu, a zresztą, kto by nam pomógł w powietrzu.

- Dlaczego na wszelki wypadek zabierasz ze sobą w

lotniczą podróż koc, zapalniczki i linę?

- Bo zawsze mogą się przydać.

- A dlaczego nie zabierasz komórkowego telefonu, przez który teraz moglibyśmy się swobodnie porozumieć z całym cywilizowanym światem?

- A czemu ty, do licha, nie zabierasz na weekend komórki, tylko na przykład pękatą walizkę fatalaszków i kuferek pełen jakichś tam bezsensownych mazideł? - odciął się, tracąc cierpliwość.

- Bo nie lubię komórek! - prychnęła.

- I ja też nie.

- A co lubisz? - spytała trochę prowokująco.

- Lubię ujeżdżać dzikie konie i poskramiać złońnice! - odparł z tajemniczym uśmiechem.

- To ma być groźba?

- Raczej zapowiedź.

- Zapowiedź... czego? - zaniepokoiła się.

- Pierwszej lekcji.

- Jak to? Chwileczkę...

Lincoln Coryell niczego Madison nie wyjaśnił, tylko w milczeniu wstał, obszedł półkolem ognisko i zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki.

- Nie waż się mnie dotykać, teksaski małpoludzie! -

ostrzegła.

- Nie będę - uspokoił ją. - Tylko... - zawiesił na moment głos.

- Tylko co?

- Tylko zaraz cię złapię i ochłodzę, żebyś się więcej niepotrzebnie nie gorączkowała, księżniczko od siedmiu boleści! - odpowiedział Linc.

Zanim sens jego słów ostatecznie do niej dotarł, on już trzymał ją na rękach i wierzgającą z całych sił niósł ze stoickim spokojem w stronę strumienia.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Kompletnie sobie lekceważąc kategorię sprzeciw Madison, który wyrażał się gwałtownym machaniem nogami, energicznym wywijaniem rękoma oraz przeraźliwym piskiem i wrzaskiem, Lincoln wszedł z nią do potoku w miejscu, gdzie woda była zdecydowanie głębsza niż gdzie indziej. To znaczy, przy jego wzroście metr dziewięćdziesiąt z okładem, sięgała mu mniej więcej do połowy uda.

Przyklękawszy na dnie, wypławił Maddie dokumentnie w lodowatej toni, z konieczności samemu również zażywając przy

tym kąpieli. Po chwili wstał, wynurzając się z wody, wyniósł ją na brzeg i puścił wolno dopiero wówczas, kiedy się całkiem uciszyła i uspokoiła.

Otrząsnąwszy się z wody, stwierdził z głęboką satysfakcją:

- Wygląda na to, panno St. John, że pierwszą lekcję mamy z głowy.

Maddie milczała, targana sprzecznymi uczuciami.

Równocześnie bowiem miała ochotę rzucić się na Lincolna z pięściami i... rzucić się mu w ramiona.

Dlaczego?

Ponieważ ten gruboskórny mężczyzna, którego uważała za prostaka, nie tylko doprowadził ją swoim niekonwencjonalnym zachowaniem do pasji, ale zarazem jej w pewien sposób zaimponował.

Zrobił na niej wrażenie.

Wzbudził w niej respekt.

I jeszcze coś innego, dziwnego, nieokreślonego... Jakaś ogarniająca podstępnie całe ciało i mącąca umysł ekscytację, jakieś drażniące, lecz mimo to przyjemne pobudzenie zmysłów, coś, czego dotąd nie znała i co ją w związku z tym mocno intrygowało, ale i przerażało nie na żarty.

Jeszcze bardziej przeraziły Maddie wypowiedziane rozkazującym tonem słowa Lincolna:

- Przebierz się teraz!
- Jak... to? - wykrztusiła.
- Zwyczajnie - odpowiedział. - Ściągnij mokre ciuchy i włóż suche. Tak jak ja.

Zdjął mokrą koszulę i rozwiesił ją na gałęzi przy ognisku. A potem zsunął z nóg kowbojskie buty i ściągnął mokre dzinsy.

Ujrzawszy go w samych slipkach, zażenowana Madison czym prędzej opuściła wzrok. A ponieważ nie chciała pokazać, że widok obnażonego męskiego ciała robi na niej jakiegokolwiek wrażenie, szybko przykucnęła pod pretekstem rozsznurowywania namokniętych w przymusowej kąpieli adidasów.

- Masz rację, buty są najważniejsze ze wszystkiego, bo jutro znów czeka nas długa i męcząca droga - rzucił Linc. - Trzeba je porządnie wysuszyć do rana. Ale resztę rzeczy też jak najszybciej zmień. Masz wszystko, co potrzeba, w moim worku.

Madison, starając się jak najwięcej zyskać na czasie, najpierw powoli zsunęła z nóg adidasy, następnie zdjęła całkowicie mokre skarpetki, a dopiero potem ostrożnie zerknęła w górę.

Stwierdziwszy z ulgą, że Lincoln ma już na sobie kompletne ubranie, to znaczy suche dzinsy i flanelową koszulę, wyprostowała się.

- Fiu, fiu! - gwizdnął, kiedy ujrzał ją w całej okazałości.

- Co z tobą? - spytała podejrzliwie.
- Ze mną nic - odparł ze śmiechem. - Ale za to ty... hm...
- zawahał się.
- Co ze mną?
- Wyglądasz teraz wypisz wymaluj jak miss mokrego podkoszulka!

Skonfundowana Maddie gwałtownym ruchem obciągnęła przemoczoną bluzkę, żeby nie przylegała jej tak bezpośrednio do biustu. I syknęła:

- Lepiej się odwróć, zamiast oczy wybałuszać, to się przebiorę i nie będzie problemu.
- Racja - przytaknął Lina
- Tylko nie próbuj podglądać.
- Nie będę. Słowo!

Nie wiedząc właściwie dlaczego, Maddie była przeświadczona, że Lincoln nie złamie danego jej słowa i nie posunie się do żadnych niecznych sztuczek w celu podpatrzenia jej w negliżu.

Nie ma obawy, jest może dość prymitywny, ale na pewno honorowy, tłumaczyła sobie w myślach. Jeśli będzie miał chęć zedrzeć ze mnie ubranie, to zrobi to tak samo bezceremonialnie, jak wrzucił mnie do wody. Ale nie podstępnie.

Musiła zdjąć z siebie wszystko, łącznie z figami. A po

przebraniu się w suchą garderobę, zmuszona była porozwieszać tę mokrą na gałęziach wokół ogniska, jak na wystawie, też łącznie z figami, co niesamowicie ją krępowało. Jednak nie miała innego wyjścia.

- Dobrze, że chcesz wysuszyć ciuchy, Maddie - pochwalił ją Linc. - Ale trzeba to będzie zrobić trochę porządniej, tak żeby nic nie pospadało w nocy na ziemię albo w ogień - stwierdził.

Po czym wydobyl ze swojego worka linę, rozciągnął ją pomiędzy dwoma niezbyt odległymi od ogniska drzewami i sztuka po sztuce porozwieszał na niej najpierw swoje mokre rzeczy, a potem rzeczy Madison. Łącznie z figami, oczywiście!

Następnie wyciągnął z worka sporą płachtę dość grubej folii i rozłożył ją równiutko na ziemi, a na niej rozścielił koc,

- Będziemy mieli w ten sposób całkiem niezły tapczanik - powiedział z zadowoleniem i wyciągnął się jak długi na zaimprovizowanym legowisku.

Maddie siedziała nieopodal po turecku na ziemi i usiłowała nie dopuścić do siebie myśli, że miałyby również ułożyć się obok Lincolna.

Niedoczekanie! Już raczej przesiedzę tak w kucki całą noc, obiecywała sobie uroczyście.

- Noc długa, nie przetrzymasz jej na siedząco - odezwał się Linc, zdając się czytać w jej myślach. - Chodź do mnie, trzeba się

wyspać.

- Nie będę spała... z tobą. Posiedzę sobie przy ogniu -  
mruknęła nachmurzona Madison.

- Chodź tu do mnie na koc, uparta dziewczyno, bo jak się  
przyzwolicie nie wyśpisz, nie będziesz miała jutro siły dalej iść.

- No i co z tego?

- To, że cię wtedy zostawię i pójdę sobie sam! - zagroził.

Biedna Maddie zatrzęsała się ze strachu na samą myśl o takiej  
ewentualności. Zdawała sobie doskonale sprawę, że w pojedynkę  
nie ma w górach i w lesie żadnych szans, że chcąc przetrwać na  
odludziu i jakoś się z niego cało wydostać, musi wędrować z  
Lincolnem Coryellem.

A chcąc wędrować z Lincolnem, musi go słuchać. I musi  
spędzić z nim noc na wspólnym kocu, skoro nie ma innego  
wyjścia.

Ociągając się, wstała i podeszła do zaimprovizowanego  
biwakowego posłania.

- A czy nie powinnaś najpierw polecieć i zrobić siusiu? -  
spytał ją Lincoln, zanim zdążyła się położyć.

- Nawet bym... chyba... poleciała - wykrztusiła  
zawstydzona. - Ale...

- Boisz się iść po ciemku?

- Właśnie.



- Więc weź to. - Lincoln podał jej wyciągniętą z worka latarkę.

Z duszą na ramieniu, choć z nowoczesną elektryczną latarką w rękę, Maddie wypuściła się poza krąg czerwono - złocistego światła rzucanego przez płonące ognisko i znalazła ustronne miejsce, odpowiednie do załatwienia naturalnej potrzeby.

Kiedy wróciła, wyraźnie kuśtykając na obolałych, poodcieranych podczas wielogodzinnego marszu nogach, Lincoln zarządził:

- Pokaż stopy!

Z rezygnacją przysiadła na kocu, zdjęła kowbojskie botki i frotowe skarpetki. Stopy miała tak pokancerowane, że Linc na ich widok aż zaklął.

- Trzeba to zaraz opatrzyć - stwierdził.

Bez pytania sięgnął po należący do Maddie kuferek z kosmetykami.

- Może znajdę pomiędzy tymi twoimi mazidłami coś odpowiedniego na nogi - mruknął.

- Jest chyba jakiś krem pielęgnacyjny do stóp - podpowiedziała.

- Nie, to za słabe - skrzywił się.

Po dłuższych poszukiwaniach wydobył z kufereka jakąś maść przeciwtrądzikową, z antybiotykiem.

- To będzie dobre - stwierdził. Wycisnąwszy sobie trochę maści na rękę, zaczął smarować obolałe i pokaleczone stopy Maddie.

Dłonie miał wprawdzie duże i szorstkie, lecz mimo to zadziwiająco delikatne. Masaż stóp w jego wykonaniu był więc nawet przyjemny.

Niepokojąco przyjemny. I Maddie przymknęła powieki i mocno zacisnęła dłonie. Czując coraz szybsze, nieopanowane bicie serca i coraz gwałtowniejsze pulsowanie krwi w skroniach, starała się panować nad sobą przynajmniej na tyle, aby świadomie równym i głębokim oddechem zamaskować niezależną od własnej woli ekscytację.

Starła się też wmówić sobie, że Lincoln Coryell bardziej ją drażni i złości jako gruboskórny i kiepsko wykształcony prostak, niż podnieca jako przystojny mężczyzna i frapuje jako człowiek silnego charakteru, który potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji i najwyraźniej nie obawia się w życiu nikogo ani niczego. Zupełnie inaczej niż na przykład ona. Bo ona niemal nieustannie była ogarnięta jakimś tam lękiem.

Bała się małych samolotów i wielkich przestrzeni.

Bała się ciemności.

Bała się dzikich zwierząt.

Bała się, że nie jest wystarczająco ładna, żeby naprawdę się

komuś spodobać i dlatego z obsesyjną wręcz gorliwością dbała o wygląd.

Bała się, że ktoś mógłby znów boleśnie zranić jej uczucia i bez skrupułów porzucić, jak niegdyś ojciec, a potem matka.

Dlatego więc wyniosłością, arogancją, a także złościwością i kpina, skutecznie zniechęcała do siebie większość osób z bliższego i dalszego otoczenia. Trzymała wszystkich na dystans, co sprawiło, że czuła się samotna i bała się samotności.

Ponieważ jednak bała się też ludzi, nie miała żadnych prawdziwych przyjaciół, a z najbliższą kuzynką, rówieśnicą i swego czasu najserdeczniejszą przyjaciółką, Caitlin Bodine, od miesiąca po mężu Duvall, nie utrzymywała żadnych kontaktów. Nie potrafiła się przełamać.

A może raczej nie chciała?

Tak, jak nie chciała teraz przyznać się sama przed sobą, że Lincoln Coryell robi na niej naprawdę niesamowite wrażenie i gdyby tylko zechciał, mógłby ją bez szczególnego trudu uwieść. Chociaż nie ma matury, nie przestrzega form obowiązujących w eleganckim towarzystwie i wysławia się często dość pociesznie, mówiąc na przykład:

- No, to nogi mamy z głowy!

- Słucham? - Zamyślona Madison nie do końca pojęła sens usłyszanych słów.

- Powiedziałem, że twoje nogi mamy już z głowy -  
powtórzył żartobliwym tonem Lina - Możemy więc spokojnie  
uderzyć w kimono - dodał.

Wyciągnął się wygodnie na kocu i przygarnął Maddie do  
siebie.

- Musimy leżeć jak najbliżej siebie, żeby starczyło koca do  
nakrycia - wyjaśnił i niemal natychmiast usnął. I  
bezceremonialnie zaczął pochrapywać!

W pierwszym odruchu, zde gustowana mało romantycznym  
zachowaniem swego współtowarzysza, Madison miała ochotę  
zerwać się z koca na równe nogi i uciec, dokądkolwiek, byleby jak  
najdalej, nawet w ciemny las. Zmęczenie okazało się jednak  
silniejsze od oburzenia i rozczarowania.

Po chwili spali już obydwój, on i ona.

Maddie miała wrażenie, że dopiero przymknęła oczy, gdy już  
zbudziły ją słowa Linca:

- Wstawaj, śpiąca królewno!

Uchyliwszy ostrożnie powieki, spostrzegła nie bez  
zdziwienia, że noc się skończyła i nastał dzień, a pomiędzy  
drzewami prześwieca poranne słońce.

- Wstawaj, śpiąca królewno! - powtórzył Linc.

- Awansowałam w twoich oczach? - rzuciła cierpko.

- Jeszcze wczoraj byłam tylko księżniczką na ziarnku

grochu, a dzisiaj...

- Księżniczka na ziarnku grochu już nieaktualna - przerwał jej.

- Czemu?

- Bo przespałaś całą noc jak zabita na prawie gołej ziemi - stwierdził Linc. - Więc musisz być dziewczyną z zupełnie innej bajki.

- Ale dlaczego akurat z tej o śpiącej królownie? Lincoln wzruszył ramionami.

- Nie wiem, tak mi się po prostu powiedziało - odparł.

- Chociaż... - zawiesił głos.

- Tak?

- Tak sobie chwilami myślę... - znów umilkł.

- Że co? - na dobre zaciekawiała się Maddie.

- Że może i ciebie ktoś tam kiedyś z czarował, jakaś zła czarownica.

- I teraz co?

- I teraz trzeba by cię jakoś odczarować i doprowadzić do porządku.

- Na przykład jak?

- Na przykład trzeba ci kazać wstać, zrobić siusiu i zjeść śniadanie! - palnął Linc.

Wykręcił się w ten sposób skutecznie od dalszych dywagacji

na kłopotliwy! niewątpliwie trudny temat charakteru Maddie i ewentualnych metod jego udoskonalenia, ponieważ ona, zapominając o subtelnym psychologicznym wątku rozmowy, skoncentrowała się na przyziemnych konkretach i wykrzyknęła:

- Ojej, śniadanie!

Od lunchu, który spożyli poprzedniego dnia na lotnisku, nie miała nic w ustach, poza wodą ze strumienia. Było więc rzeczą całkowicie naturalną, że odczuwała głód i myślała o jedzeniu.

- A jakże, śniadanie! - potwierdził Linc.

- A co będzie?

- Ryba a la szaszłyk.

- To znaczy?

- Pieczona na patyku nad ogniskiem - wyjaśnił. - Z braku laku niestety bez soli i innych przypraw.

- Ale ja nie lubię ryb - mruknęła Madison i skrzywiła się zdegustowana.

- No, to zostanie więcej dla mnie. - Linc Coryell ani trochę nie przejął się jej grymasami.

- Hm... Trochę jednak zjem, skoro nie miałam nic w ustach od wczorajszego lunchu - oznajmiła po kilkusekundowym namyśle. - A jak złowiłeś te ryby? - zaciekawiała się. - Na wędkę?

- Nnno, tak jakby. A ściśle mówiąc, na sznurowadło od

twoich adidasów.

Maddie nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. A kiedy już się wyśmiała z niesamowitego pomysłu łowienia ryb na sznurowadła, czym prędzej wybrała się na krótką przechadzkę do lasu, żeby zrobić przed śniadaniem to, do czego Linc zachęcał ją już wcześniej.

Natychmiast po śniadaniu wyruszyli w dalszą drogę.

Wędrowali przez dziewiczy górski las bez dłuższego wypoczynku przez cały dzień, aż do późnego popołudnia, kiedy to Madison oświadczyła, że ma już wszystkiego dość i nie postąpi więcej ani kroku. Po czym po prostu Usiadła na ziemi.

Usiadła tam, gdzie się akurat znajdowała, czyli na odkrytej górskiej łące, rozciągającej się na obydwu dość łagodnych zboczach malowniczej dolinki, na dnie której wartko płynął nieduży raczej strumień.

Lincoln Coryell, który szedł przodem, zerknął w jej stronę przez ramię. I nagle, strasznie zdenerwowany, dopadł do niej, złapał ją za rękę, szarpnął mocno i zmusił nie tylko do natychmiastowego powstania na równe nogi, ale również do biegu. Do szybkiego biegu, który po całodziennym forsownym marszu był dla niej prawdziwą torturą!

Zbiegli w dół, pokonali w pośpiechu potok i nie zwolniwszy ani trochę tempa na wzniesieniu, wspięli się na przeciwległe

zbocze, zostawiając za sobą odkrytą przestrzeń i docierając do lasu.

Dopiero na jego skraju Linc przystanął i pozwolił Madison złapać głębszy oddech. Wciąż jednak bardzo mocno ścisnął jej rękę w swojej dłoni.

- Puść mnie! To boli - syknęła.

Była przekonana, że jego miazdzący uścisk ma być, podobnie jak przymusowy bieg, formą kary za jej niesubordynację.

- Zanim cię puszcze, Maddie, spójrz za siebie - mruknął Linc..

Odwróciła się, żeby zlustrować malowniczą, oświetloną popołudniowym słońcem dolinkę.

Po drugiej stronie strumienia, w głębi sielankowej łąki, na skraju lasu, z którego właśnie wyszli, w momencie kiedy to ona odmówiła dalszej wędrówki i przysiadła, stał sobie... niedźwiedź! Stał efektownie na tylnych łapach, jak w cyrku!

Dwumetrowy z okładem kolos, prawdziwy król Gór Skalistych!!

Szary grizli!!!

Stał, rozglądał się uważnie po okolicy i równocześnie niuchał, raz po raz unosząc w górę nozdrza.

- Całe szczęście, że zanim ten sympatyczny miś nas spostrzegł albo zwietrzył, zdążyliśmy dać przed nim nogę -



stwierdził Linc.

Maddie zachwiała się tylko z wrażenia i jęknęła:

- O Boże!

Po czym bez jednego bodaj słowa skargi przemaszerowała w narzuconym przez Lincolna szybkim tempie jeszcze ładnych kilkanaście kilometrów, byleby tylko znaleźć się jak najdalej od miejsca, w którym tak łatwo mogła zostać schwytana i pożarta na kolację przez dzikiego górskiego olbrzyma.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Pod wieczór dotarli do innego strumienia.

- Tu zostaniemy już na noc, skoro jest woda - oświadczył Linc.

- A jak oprócz wody jest tu też jakiś niedźwiedź? - zaniepokoiła się Madison.

- Nie ma.

- Skąd wiesz?

- Nie widzę żadnych niedźwiedzich śladów nad brzegiem potoku.

- No to co?

- Jakby miś tu gdzieś był, pewnie przychodziłby tu pić.

Logiczne?

- Fakt - zgodziła się Madison, przyznając w duchu, że chociaż Lincoln Coryell najprawdopodobniej nie ma nawet matury, to jednak z całą pewnością jest całkiem inteligentnym facetem. Po czym spytała: - No, ale czy ty na pewno wiesz, jak takie niedźwiedzie ślady wyglądają?

- Przynajmniej się domyślam - odpowiedział. - Są duże, z wyraźnymi odciskami pazurów.

- Brrr! - wzdrygnęła się Maddie. - Jak sobie pomyślę, że mogłabym poczuć na sobie te pazury...

- Nie myśl nigdy niepotrzebnie o żadnych takich strasznych rzeczach, dobrze ci radzę - przerwał jej Linc łagodnym, ale zdecydowanym tonem. - Teraz też lepiej rozłóż sobie koc, usiądź wygodnie i po prostu odpocznij trochę po ciężkim dniu.

- A ty?

- A ja tymczasem nazbieram trochę drewna na ognisko i postaram się nałowić ryb.

- Nie jesteś zmęczony?

- Nie.

- Naprawdę? - Nie mogła uwierzyć.

- Na sto procent.

- Ale może jednak jakoś ci pomóc? - spytała dla spokoju sumienia.

- Nie trzeba - stwierdził. - Już lepiej siedź sobie spokojnie i odpoczywaj, bo jak się zaczniesz kręcić po okolicy, to jeszcze znów wpadniesz w oko jakiemuś samotnemu misiowi!

Żart Lincolna nie rozbawił jakoś Madison. Z ponurą miną wydobyła z worka koc i podścieliwszy pod spód foliową płachtę, rozłożyła go na ziemi.

Nie przysiadła jednak, tylko od razu wyciągnęła się jak długa i zmęczona forsownym marszem oraz niesamowitymi wrażeniami dnia - usnęła.

Kiedy Lincoln obudził ją na kolację, wokół panowały już nieprzeniknione ciemności, rozpraszane jedynie przez światło księżycy i blask płonącego z sykiem i trzaskiem ogniska.

- Ryby gotowe do konsumpcji - oznajmił.
- Nie cierpię... - odezwała się rozespana.

Poczuła jednak nagle taki głód, że nie dokończyła rozpoczętego zdania, tylko czym prędzej rzuciła się na upieczone na patykach, bez soli i jakichkolwiek przypraw, rybne tuszki.

Dawno nic jej tak nie smakowało. Nawet najwymyślniejsze potrawy serwowane w najelegantszych i najslynniejszych w całej Ameryce restauracjach, które dość systematycznie odwiedzała, na przykład przy okazji wyjazdów po zakupy do Nowego Jorku, gdzie miała zwyczaj zaopatrywać się w modną garderobę od najlepszych projektantów.

- Dobrze było? - spytał Linc, kiedy cisnęła w ogień ostatni patyk i odrzuciła w krzaki ostatni obgryziony do czysta rybi kręgosłup.

- Nawet nieźle - mruknęła.

- Więc czegoż ci jeszcze potrzeba do szczęścia, dziewczyno?

- Ech, mnóstwa rzeczy, których tutaj brakuje - westchnęła z rozmarzeniem i machnęła ręką. - Ale przede wszystkim łazienki i kąpieli!

- Wykap się w strumieniu - zasugerował.

- Woda jest pewnie zimna.

- Za to krystalicznie czysta.

- Ale nad strumieniem jest ciemno.

- Nie całkiem, bo księżyc nieźle świeci.

- Fakt.

- Mogę zresztą z tobą pójść i popilnować cię w kąpieli, jeśli się boisz - zaproponował Linc.

- Obejdzie się! - burknęła. - Pójdę sama, a ty tu siedź i nigdzie się nie ruszaj.

- Niech i tak będzie - przystał. - Ja wezmę kąpiel później. Tylko wybacz, że niestety nie będę mógł się ogolić, bo nie mam czym.

- Jakoś to przeżyję - mruknęła Madison i przyjrząwszy mu

się nieco uważniej, stwierdziła w duchu, że ze szczecina czterdziestogodzinnego mniej więcej zarostu na twarzy prezentuje się może trochę groźnie, ale też całkiem pociągająco.

Wstała z koca, wydobyla ze swojego kosmetycznego kuferka kawałek mydła, a z podróżnego worka Lincolna czyste majteczki, wsunęła je do kieszeni dżinsów i powędrowała nad strumień.

Posuwając się ostrożnie wzdłuż brzegu, odeszła na tyle daleko od ogniska, by nie było jej widać w rzucanym przez nie czerwonym świetle.

Wzięła kąpiel w lodowatej wodzie, z braku ręcznika osuszyła się z grubsza, wykonując na brzegu kilkanaście szybkich piruetów i zamasztych podskoków, włożyła na pokryte gęsią skórka, wciąż jeszcze z lekka wilgotne ciało suche ubranie i przybiegła czym prędzej do ogniska, żeby się ogrzać.

- Skoro już jesteś z powrotem, to teraz ja pójde do wody, żeby się doprowadzić do jakiego takiego porządku - stwierdził Linc.

- Weź sobie do kąpeli moje mydło - zaproponowała wielkodusznie.

- Stokrotne dzięki!

Linc się oddalił i Maddie została sama przy ognisku. Zrobiło jej się ciepło, błogo, przyjemnie, ogarnęła ją miła senność, zaczęła drzemać. Nagle obudził ją jakiś podejrzany trzask.

Przerażona rozejrzała się dookoła. Lincoln wciąż przy niej nie było, tymczasem w pobliskich zaroślach coś tupotało.

Z pewnością jakieś zwierzę.

Z pewnością jakieś dzikie zwierzę.

Czyżby...?

- Niedźwiedź!!! - wrzasnęła przeraźliwie, po czym jak oparzona zerwała się z koca i pędem rzuciła się do ucieczki, wciąż alarmując histerycznie: - Niedźwiedź! Niedźwiedź! Niedźwiedź!

Któż mógłby ją obronić przed ewentualnym atakiem groźnej bestii?

Kobięcy instynkt podpowiadał jej, że tylko Lincoln Coryell, jedyny mężczyzna w promieniu iluś tam setek kilometrów i jedyny chyba prawdziwy mężczyzna, jakiego spotkała w całym swoim dotychczasowym życiu! Dlatego bez zastanowienia pobiegła z głośnym krzykiem w jego stronę, nad strumień.

Lincoln wyskoczył z wody. A ona dopadła do niego i ogarnięta paniką oplotła go ramionami tak mocno, że gdyby jakiś agresywny niedźwiedź naprawdę się pojawił, to on, nawet przy najlepszych chęciach, nie byłby w stanie stoczyć z nim pojedynku, gdyż nie mógłby się nawet ruszyć z miejsca. Maddie obejmowała go bowiem kurczowo i tuliła się do niego ze wszystkich sił całym rozdygotanym ciałem.

Ani troszeczkę jej nie przeszkadzało, że jest zupełnie mokry.

Ani troszeczkę jej nie przeszkadzało, że jest zupełnie goły. Śmiertelnie przerażona, w ogóle tego nie spostrzegła, prawdę mówiąc.

- Niedźwiedź! - powtarzała machinalnie raz po raz. - Niedźwiedź, niedźwiedź, niedźwiedź...

- Widziałaś go? - spytał Linc, na próżno wypatrując zwalistej sylwety misia.

- Nnnie... - wykrztusiła. - Ale słyszałam.

- Co robił?

- Tupotał w krzakach.

- Tylko tupotał?

- Jeszcze tak jakoś trzaskał, szeleścił. - Maddie, mimo zdenerwowania, starała się możliwie precyzyjnie opisać usłyszane w ciemnościach odgłosy, które ze strachu natychmiast przypisała niedźwiedziowi.

- Dziewczyno, nie bój się! - zaczął ją uspokajać Lincoln. - Tu w Górach Skalistych żyje przecież mnóstwo zwierząt, w większości drobnych i zupełnie nieszkodliwych.

- Naprawdę?

- Jasne. Część z nich prowadzi nocny tryb życia i przy okazji trochę czasem hałasuje po ciemku. Któreś cię przestraszyło, ale na pewno nie miś!

- Na pewno?

- No, ja przynajmniej nigdzie go nie widzę, ale najlepiej rozejrzyj się jeszcze sama. Widzisz gdzieś tutaj niedźwiedzia?

Maddie, opanowawszy się nieco pod wpływem jego przekonujących słów, rozluźniła kurczowy uścisk, cofnęła się o pół kroku.

- Widzisz niedźwiedzia? - powtórzył Linc. Pokręciła przecząco głową.

Jednak nic nie powiedziała. Z wrażenia nie była w stanie wykrztusić choćby pojedynczego krótkiego słowa.

Uświadomiła sobie bowiem nagle, że wprawdzie nie widzi nigdzie w najbliższej okolicy szarego niedźwiedzia grizli, lecz za to widzi tuż przed sobą wysokiego, przystojnego, barczystego, wspaniale umięsnionego i całkiem nagiego mężczyznę.

Ten widok podziałał na nią równie piorunująco, jak przed chwilą wyobrażenie misia.

- O nieba! - jęknęła. Po czym zawstydzona zerwała się do biegu i popędziła z powrotem do ogniska równie szybko, jak przed chwilą stamtąd przybiegła.

Lincoln Coryell pojawił się niebawem, już przyzwoicie ubrany.

Pozaglądał jeszcze tu i ówdzie po zaroślach, przyświecając sobie latarką, żeby upewnić się do końca, że żadne groźne zwierzę nie zamierza zakłócać im obojgu nocnego wypoczynku. Po czym



jakby nigdy nic wziął się za masowanie obolałych stóp Maddie,  
- Skoro po wczorajszym masażu przeszłaś dzisiaj taki kawał drogi - wyjaśnił - to warto zabieg powtórzyć, żebyś jutro mogła tak samo sprawnie iść.

Madison znów nic nie powiedziała. Nie mogła mówić, bo musiała mocno przygryźć wargi, żeby nie jęczeć.

Z bólu? Nie!

Wręcz przeciwnie. Z rozkoszy! Albowiem Linc, dosłownie już od pierwszego dotyku, doprowadził ją... z pewnością znacznie dalej, niż powinien, znacznie dalej niż mogłaby się spodziewać i znacznie dalej, niżby chciała.

Doprowadził ją do zakłopotania, pobudzenia, podniecenia, ekscytacji. Na skraj ekstazy...

Dlatego leżała podczas masażu stóp nieruchomo, z zaciśniętymi ustami i zamkniętymi oczyma, wsłuchana w głośne, pośpieszne kołatanie własnego serca.

Nie była w stanie go uciszyć ani pohamować, podobnie jak nie potrafiła opanować gwałtownego pulsowania krwi w skroniach, dławienia w gardle i obezwładniającego mrowienia w całym ciele, a zwłaszcza w kilku jego najwrażliwszych punktach.

Siłą woli kontrolowała jeszcze tylko oddech. Starła się, by był spokojny i równy: wdech - wydech, wdech - wydech, jeden - dwa, jeden - dwa.

Tak właśnie liczyła w myślach, robiąc wszystko, żeby tylko utrzymać jak najdłużej ten jednostajny, miarowy rytm i nie dać Lincolnowi poznać, co się z nią dzieje, w jakie niezwykle uniesienie wprawia ją jego dotyk, jaką niezwykle władzę nad nią - nad jej ciałem, nad jej zmysłami, nad jej sercem, nad jej umysłem - mają w tym momencie jego mocne męskie dłonie.

Leżała nieruchomo i czekała z utęsknieniem. Sama właściwie nie zdawała sobie w pełni sprawy, na co bardziej czeka. Czy na to, że Linc wreszcie skończy? Czy może raczej, że wreszcie zacznie?

Zacznie jej robić coś więcej... wdech - wydech... niż tylko masaż stóp... wdech - wydech... i na przekór jej wysiłkom... wdech - wydech... dostrzeże jednak to... wdech - wydech... co tak bardzo starała się przed nim ukryć... wdech - wydech... i w którymś momencie...

- I w tym momencie można uznać, Maddie, że twoje nogi są już gotowe do drogi!

Wypowiedziane żartobliwym tonem słowa sprowadziły ją błyskawicznie z nieba na ziemię.

Czar prysnął.

Romantyczny i erotyczny zarazem nastrój rozwiął się w jednej chwili jak dym z dogasającego właśnie ogniska.

Lincoln wstał, żeby dorzucić drew i podtrzymać w ten sposób ogień. Ona natomiast usiadła i zapatrzyła się w rozniecone przez

niego na nowo płomienie, z których jedna po drugiej tryskały w górę iskry. Tryskały najwyraźniej tylko po to, żeby przelotnie błysnąć i już za moment zgasnąć w chłodnym nocnym powietrzu.

- O czym tak myślisz, Maddie? - zapytał Lincoln, gdy już zatroszczył się o opał.

- O tym, że doszłam całkiem nie tam, gdzie chciałam

- odpowiedziała dość niejasno.

- Chcesz powiedzieć, że wybierałaś się do modnego kurortu, a trafiłaś na odludzie?

- Właśnie tak - potwierdziła skwapliwie, nie chcąc się wdawać w szczegóły. - I trafiłam na ciebie, a miałam się spotkać...

- Z narzeczoną? - zaciekawiał się Linc.

- Nie.

- A z kim?

- Z matką. No i z jej mężem.

- Z twoim ojcem?

- Nie. Z niejakim panem Hastingsem, najnowszym mężem mojej mamy, dopiero co przez nią poślubionym - mruknęła z przekąsem Maddie.

- Najnowszym, mówisz? Znaczący którym? Maddie machnęła ręką.

- Którymś już tam z kolei po tym pierwszym, czyli moim ojcu, panu St. John - wyjaśniła. - Miałam się spotkać z rodziną

tego Hastingsa, z jego dorosłymi dziećmi i małoletnimi wnukami.  
Rozumiesz?

- Teraz już chyba tak - stwierdził Linc. - Jesteś może w jakimś kontakcie z ojcem?

- Nie.

- Tak myślałem. A co się z nim stało?

- Zniknął z mojego życia już dawno, zostawił mamę i mnie w Stanach i wyjechał do Europy, kiedy jeszcze byłam całkiem malutka. I tylko raz przysłał mi pocztówkę z Francji, dokładnie jedenaście lat temu.

- A z matką, kiedy ostatnio się widziałaś?

- Dawno - odpowiedziała jednym krótkim słowem, nie precyzując już nawet, że przed piętnastu laty.

- Rozumiem - mruknął Linc i pokiwał znacząco głową. - Straciłaś rzadką okazję i dlatego chwilami tak się wściekasz, na przykład na mój samolot albo na mnie. Rozumiem.

- Nic nie rozumiesz!

- Nieprawda! - zaprzeczył energicznie. - Swoje wiem, chociaż prosty ze mnie kowboj i nawet średniej szkoły nie skończyłem. Ale przeszedłem za to niezłą szkołę życia, Maddie, twardą szkołę, zanim z chłopaka z ubogiego domu stałem się całkiem bogatym ranczerem. Dlatego coś niecoś wiem.

- A konkretnie na mój temat? - rzuciła trochę

provokacyjnie.

- Że niebrzydka z ciebie dziewczyna.
- Nie kpij!
- Kiedy naprawdę! - zapewnił. - Tyle tylko, że

rozkapryszona złośnica.

- Co ty powiesz?
- Ale jeszcze masz szansę wyjść na ludzi.
- Naprawdę, panie wróżbito?
- Zanim wydestaniemy się z tej górskiej głuszy - ciągnął

Linc, nie zważając na jej złośliwości - będziesz zupełnie inna, zobaczysz! Już dzisiaj, w porównaniu z wczorajszym dniem, widać postępy.

- Bzdury pleciesz!
- Nieprawda!
- Prawda!
- Nieprawda!
- Pra...

Nim rozzłoszczona Maddie zdążyła się po raz kolejny sprzeciwić, zniecierpliwiony jej niepoprawną przekorą Lincoln uciszył ją w pół słowa, zamykając jej usta pocałunkiem.

Nie sprzeczał się z nią, tylko po prostu przewrócił ją na koc i zaczął całować. I całował tak długo, aż się uspokoiła i przestała go od siebie odpychać. Dopiero wtedy oderwał wreszcie usta od jej

warg.

- Co to właściwie miało być? - spytała naburmuszona, zaczerpnąwszy najpierw tchu.

- Przyjacielski pocałunek na dobranoc - odpowiedział pół żartem, pół serio, nie wypuszczając jej z objęć. - Teraz śpij.

- I ty też!

- Jasne. Trzeba się wyspać, bo czeka nas jeszcze daleka droga.

- Jak długo będziemy tak szli?

- Trudno powiedzieć, ale na pewno w końcu dojdziemy tam, gdzie trzeba.

- Gwarantujesz?

- Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

- A dlaczego nie na sto?

- Bo przy stuprocentowej gwarancji w życiu robi się nudno.

- A ty nie lubisz się nudzić?

- Nie cierpię.

- Czy to znaczy, że z natury jesteś poszukiwaczem przygód?

- Czemu nie! Ale już mnie o nic więcej nie wpytuj, tylko śpij, największa przygodo mojego życia - mruknął. - Dobrej nocy!

- Dobranoc!

Po tej rozmowie i w ogóle po wszystkim, co wydarzyło się

tego niezwykłego dnia i ekscytującego wieczora, Maddie wcale nie była pewna, czy kłębiące się w jej głowie gorączkowe myśli pozwolą jej choć na trochę zmrużyć oczy przed świtem. Jednak wtulona w opiekuńcze ramiona Lincolna usnęła bardzo szybko i przespalała spokojnym, głębokim snem całą noc.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obudziła się rano, z głową opartą wygodnie, jak na poduszce, na wyciągniętym w bok ramieniu śpiącego tuż obok niej mężczyzny.

Właściwie, to nawet dobrze tak być razem z kimś, tak na co dzień, pomyślała, błogo rozmarzona. Z kimś silnym, zaradnym, odważnym, odpowiedzialnym, z kimś, na kogo można liczyć w trudnych sytuacjach.

I nagle opadły ją niepokojące wątpliwości.

Chwileczkę... - zawahała się.

Czy o n na pewno jest kimś takim? - zaczęła się zastanawiać, spojrzawszy kątem oka na Lincolna. Czy nie jest przypadkiem tak, że ten facet traktuje to wszystko, co się od trzech dni z nami dzieje... i to wszystko, co się dzieje pomiędzy nami... wyłącznie jako przygodę, jako dobrą zabawę?

Bo przecież z początku - spróbowała uporządkować w myślach fakty - nieustraszony Linc Coryell świetnie się bawił w pilota awionetki. A teraz, od chwili przymusowego lądowania niesprawnej cessny w samym sercu Gór Skalistych, też się wspaniale bawi, tyle że w trapera.

No, a ze mną - doszła nagle do wniosku - próbuje się przy okazji zabawiać według scenariusza, jaki nakreślił genialny William Szekspir w swojej słynnej komedii „Poskromienie złośnicy”.

Chwileczkę... - zreflektowała się po raz wtóry. A może w wersji, jaką próbuje dla zabawy inscenizować Lincoln Coryell, wcale nie ma to być poskromienie, tylko raczej uwiedzenie złośnicy?

- Nigdy! - syknęła oburzona.

Z uwiedzeniem nieodparcie kojarzyły się jej bowiem takie niegodziwe, nieszlachetne postęпки, jak wykorzystanie, zranienie, porzucenie.

Czyli to wszystko, czego tak strasznie, tak panicznie bała się w życiu! I przed czym broniła się ze wszystkich sił, nie tylko w obliczu realnego zagrożenia, ale stale, na wszelki wypadek, profilaktycznie - nieufnością i oschłością w kontaktach z ludźmi.;

Jej babka, Clara Chandler, też taka była, „profilaktycznie” zimna i zawsze pełna rezerwy. Wychowywała ją i roztaczała nad



nią opiekę, ale nigdy, przez wszystkie lata, jakie spędziły razem pod jednym dachem, w tyra samym domu, nie okazała jej choćby odrobiny uczucia. Nie chciała. A może nie potrafiła?

Matka też nie umiała jej kochać! Zostawiła ją bez skrpułów w Coulter City, jak niepotrzebny, niewygodny bagaż w przechowalni. I prawie całkiem o niej zapomniała w ciągu piętnastu lat.

On - rozgoryczona Madison znów odruchowo zerknęła na śpiącego tuż obok niej Lincolna - też najprawdopodobniej o mnie zapomni, kiedy tylko dotrzemy do takiego miejsca, w którym bez specjalnych wyrzutów sumienia będzie mógł mnie zostawić!

Zapomni o tej przygodzie, którą w tej chwili wspólnie przeżywamy i zajmie się poszukiwaniem nowych, innych, skonkludowała posepnie. Zabawi się i znudzi. Wykorzysta mnie i porzuci.

- Niedoczekanie! - warknęła.

- Coś się stało? - Rozbudzony przez nią z głębokiego snu Linc otworzył oczy i półprzytomnie zaczął rozglądać się dookoła.

- Na cale szczęście, jeszcze nie - stwierdziła z powagą. - Wypałeś się?

- Owszem.

- To chyba pora wstawać.

- Też tak myślę. Kto pierwszy?

- Mogę ja - zdeklarowała się Maddie.

Podniosła się z posłania i ruszyła w stronę pobliskich zarośli, żeby za ich naturalną zasłoną załatwić swoją naturalną potrzebę.

Weszła w krzaki i ostrożnie przykucnęła. Już miała spokojnie zrobić to, co zaplanowała, kiedy nagle ujrzała dokładnie naprzeciwko siebie... kosmatą mordkę jakiegoś dziwnego stworka!

Kiedy z krzykiem zerwała się na równe nogi i zaczęła zmykać z gąszczu na odkrytą przestrzeń, w biegu porządkując na sobie garderobę, kosmaty stworek z głośnym i zawadiackim, chociaż komicznie piskliwym ujadaniem ruszył na nią. I oboje wpadli prosto na Lincolna!

Gdy wybuchnął na ich widok śmiechem, skonfundowana Maddie zatrzymała się i zerknęła za siebie. I dopiero wtedy zorientowała się, że goni ją... mały piesek.

- To pewnie jest ten twój wczorajszy niedźwiedź - stwierdził rozbawiony Linc i przykucnął, żeby przywołać psiaka do siebie.

Szarobury kosmatek o wyjątkowo długiej i przez to zapewne mocno skołtunionej sierści, na łebku i niedługim ogonie trochę ciemniejszej, a może brudniejszej niż na bokach i grzbiecie, z dziarsko sterczącymi uszkami, zupełnie czarnym noskiem i ciemnymi, lśniąco-ciemnymi, niesamowicie bystrymi oczkami, ostrożnie, dość nieufnie, zbliżył się na odległość wyciągniętej ręki.

Zgodnie z powszechnym psim zwyczajem, kosmaty liliputek obwąchał najpierw bardzo uważnie palce i dłoń Lincolna, a dopiero w chwilę później podszedł bliżej i zaczął się do niego łąsić.

- Mnie obszczał, a ciebie z miejsca zaakceptował? -  
zdziwiła się Maddie.

Widocznie od razu wyczuł we mnie dobrego człowieka, psy podobno mają do tego nosa - mruknął Linc.

- No, chodź tu, maleństwo, no chodź.

Pogłaskał psiaka, wziął go na ręce i zaczął dokładniej oglądać.

- To suczka - stwierdził. - Wychudzona, biedulka, zaniedbana.

- Jak myślisz, skąd się tu wzięła, w samym środku lasu? -  
odezwała się Maddie.

- Trudno powiedzieć. Może zginęła jakimś turystom? -  
zasugerował Linc.

- A może ktoś ją porzucił?

- Trudno powiedzieć - powtórzył Linc. - W każdym razie miała w nieszczęściu wielkie szczęście, że to my ją znaleźliśmy, a nie jakieś dzikie leśne zwierzę, na przykład niedźwiedź!

- Chcesz ją stąd zabrać?

- A czy mógłbym ją tu zostawić? - pytaniem na pytanie

odpowiedział Lincoln, tuląc kosmatego psiaczka do siebie.

- Ojej! - zaniepokoiła się Maddie. - Ale ona przecież może mieć pchły albo kleszcze, czy jeszcze jakieś inne paskudne insekty.

- Dziewczyno, my też możemy mieć insekty, po dwóch nocach przespanych na ziemi i dwóch dniach przedzierania się przez leśne gąszcze.

- Naprawdę? - Przestraszona Madison zaczęła się odruchowo drapać po całym ciele.

- Nie przejmuj się tak bardzo, insekty to nic strasznego - zaczął ją uspokajać Linc. - Jeśli nawet nas obleżą tu w lesie, to na pewno szybko się z nimi uporamy, jak tylko wrócimy do cywilizacji. Tę rozczochraną psinę też bez problemu doprowadzimy do porządku. Na razie trzeba będzie ją nakarmić.

- I chyba jakoś nazwać!

- Masz rację. Tylko jak?

- Może Hope? - wpadła na pomysł Madison.

- To ładne imię, więc niech będzie - przystał bez oporów Linc. - Mam nadzieję - dodał po chwili, głaszcząc w zamyśleniu kudłatą suczkę po łebku - że w pobliżu miejsca, gdzie ktoś mógł zgubić czy porzucić psa, jest jakaś droga lub szlak turystyczny, albo schronisko, czy nawet osada.

- W pobliżu, to znaczy gdzie?

- Tego nie wiem - odpowiedział Linc. - Zależy, ile takie maleństwo mogło samo przejść, zanim się na nas natknęło.

Weźmiesz ją, Maddie? - spytał. - To pójdę złowić jakąś rybę na śniadanie.

- Może za chwilę, dobrze?

Madison skoczyła w krzaki, żeby wreszcie zrobić to, w czym wcześniej przeszkodziła jej Hope.

Kiedy wróciła, przysiadła na skraju koca i ostrożnie wzięła na ręce psinkę, która tym razem przytuliła się do niej równie ufnie, jak przedtem do Lincolna.

- Chyba i we mnie wyczulaś dobrego człowieka, prawda? - szepnęła do niej Maddie.

A mała Hope w odpowiedzi leciutko pomerdała kosmatym ogonkiem.

Linc złowił w strumieniu kilka drobnych ryb, oczyścił je i upiekł nad ogniskiem. Pożywili się wszyscy troje, razem z psiakiem, marnie bo marnie, ale zawsze.

- I znów w drogę? - odezwała się Madison, przełknąwszy ostatni kęs.

- Nie ma innego wyjścia. - Hope za nimi nadaży?

- Poniosę ją.

- Pozazdrościć.

Uśmiechnął się dobrodusznie, lecz nie zaproponował

Maddie, że i ją weźmie na ręce.

Wędrowali przez cały ranek. Po krótkim odpoczynku w południe ruszyli znów w dalszą drogę.

Wczesnym popołudniem po raz drugi natknęli się na niedźwiedzia grizli, który jednak na szczęście buszował daleko od nich, na przeciwległym zboczu wzgórza, i zupełnie nie zwracał na nich uwagi.

Natomiast późnym popołudniem usłyszeli jakieś głucho dudnienie.

- Może to autostrada? - ożywiła się Madison.

- Raczej burza - rozwiął jej nadzieje Lincoln.

- A może jednak... - Optymistycznie nastrojona Maddie jakoś nie dawała się przekonać, zwłaszcza że spoglądając na niebo, dostrzegała na nim wszędzie wokół tylko niewielkie białe obłoki.

- Nie! - mocno obstawał przy swoim Linc.

- Przecież nigdzie nad nami nie ma żadnych burzowych chmur.

- Zapamiętaj sobie, Maddie, że w wysokich górach pogoda lubi kapryścić i burzowe chmury zjawiają się nie wiadomo skąd i nie wiadomo kiedy. Teraz ich nad nami nie ma, a już za chwilę mogą być - utrzymywał Linc.

Bardzo szybko okazało się, że to on, niestety, miał słuszość. W ciągu kwadransa, a co najwyżej dwóch, białe obłoki ustąpiły na

niebie miejsca ciężkim, burzowym chmurom w kolorze ołowiu. Choć wieczór jeszcze nie zapadł, zrobiło się prawie całkiem ciemno, zerwał się wiatr i zaczął padać drobny z początku deszcz, który niebawem przemienił się w gwałtowną nawałnicę.

Wokół rozpętało się istne piekło!

Strugi lodowatej wody lały się z góry jak z przysłowiowego cebra.

Świetliste, oślepiające zygzaki błyskawic co kilkanaście sekund przecinały niebo.

Pioruny z ogłuszającym hukiem waliły w okoliczne skały, krzesząc z nich snopy iskier.

Lincoln, Madison i Hope, nie mogąc w takich warunkach dalej iść, zatrzymali się na zboczu, ponad dolinką, na której dnie płynął strumień.

Przycupnęli na niezbyt stromej pochyłości, bezpośrednio na wilgotnej ziemi, z grubsza jedynie osłonięci płachtą folii, która do tej pory służyła im za część posłania, a teraz stała się dodatkowo prowizorycznym dachem nad głową.

Siedzieli i czekali, aż rozszalały żywioł chociaż trochę się uspokoi.

- To wszystko jest takie straszne - skarżyła się Maddie, raz po raz zamykając ze strachu oczy i zatykając sobie uszy rękoma.

Nie mniej chyba przerażona Hope wtórowała jej cichutkim

popiskiwaniami.

Tymczasem Linc uspokajał obydwie, głaszcząc psinkę, a Maddie cierpliwie tłumaczył, że burza w górach zwykle wygląda wprawdzie straszniej niż na równinie, ale tym, którzy nie przebywają akurat w szczytowych partiach gór, niczym nie grozi, poza przemoknięciem.

- Ale taki gwałtowny deszcz jak ten, który w tej chwili pada, jest zawsze jak starej baby taniec - stwierdził z uśmiechem.

- To znaczy, jaki? - zażądała dokładniejszych wyjaśnień Madison.

- Prędko, ale krótko.

Tym razem okazało się, że Lincoln, niestety, nie miał racji. Deszcz padał i nie zamierzał przestać. Nawet pod folią zaczęło z czasem robić się mokro, wilgotna bluzka coraz bardziej przylegała Maddie do pleców, a wilgotne spodnie do miejsca, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

- Zanim wszystko w tej okolicy przesiąknie na wylot, muszę się mszyć i uezierać trochę drewna na ognisko - doszedł do wniosku Linc, przeanalizowawszy sytuację meteorologiczną. - A ty tu siedź, Maddie, pilnuj Hope i mocno trzymaj folię, żeby przypadkiem nam jej wiatr nie porwał - zarządził.

Gdy wrócił po kwadransie ze sporym naręczem drewna, prezentował się mniej więcej tak, jakby wyszedł prosto spod



prysznic. Tyle że w ubraniu.

- Przepraszam, ale muszę wszystko z siebie zdjąć - mruknął.

Madison zarumieniła się i spuściła wzrok. A on spokojnie zaczął się rozbierać i jeszcze ją próbował nakłonić do zrobienia striptizu, sugerując:

- Też chyba powinnaś zmienić mokre ciuchy.

- Ja... zmienię... może później - odpowiedziała i zarumieniła się jeszcze bardziej niż przed chwilą, mimo przenikliwego chłodu.

Ulewny deszcz padał jeszcze przez jakiś czas, falami, okresowo nieco rzednąc i słabnąc, to znów gwałtownie wzmagając się i gęstniejąc.

Gdy wreszcie ustał i mogli swobodnie zejść, ze zbocza na dół, nad strumień, Madison była kompletnie przemoczona, mocno przemarznięta i zupełnie odrętwiała w efekcie długotrwałego przebywania bez ruchu w niezbyt wygodnej pozycji.

- Poskacz sobie trochę albo zrób kilka przysiadów na rozgrzewkę - poradził jej Linc. - A ja tymczasem spróbuję rozpać ogień - dodał.

Kiedy on chuchał i dmuchał na wilgotne patyki, starając się dokonać nie lada sztuki i sprawić, by zechciały płonąć, ona przebrała się na osobności w ubranie wyjęte z worka, przynajmniej

w miarę suche, bo oczywiście nie całkiem. Po czym, ponieważ nadal było jej zimno, a na dodatek smutno i głodno, zamiast skakać lub robić przysiady, po prostu się rozplakała. Przestała łkać dopiero wtedy, gdy zobaczyła, że ogień już się pali.

To przecież istny cud! - pomyślała. A skoro cuda się zdarzają, to może jednak w jakiś sposób wydostaniemy się z tych gór? I może Linc nie zostawi mnie w pierwszej ludzkiej siedzibie, jaką uda nam się napotkać, tylko...

- Tylko nie odchodź za daleko, bo jeszcze mi się gdzieś zgubisz po ciemku! - zawołał Lincoln.

- Miałbyś przynajmniej jeden kłopot z głowy! - odkrzyknęła przekornie.

Wróciła jednak posłusznie do ogniska i przysiadła na kocu obok Hope i Lincolna.

- Strasznie dziecinna jesteś - mruknął z lekkim wyrzutem.

- Bo co? - rzuciła zadziornie.

- No, bo niesamowicie lubisz się popisywać i przekomarzać.

- W dzieciństwie wcale nie lubiłam. Byłam nieśmiała i grzeczna.

- I co?

- I tylko na tym stale traciłam! - burknęła ze złością, ale i z rozżaleniem Maddie.

- Daj jakiś przykład,

- Proszę bardzo! Matka mnie zostawiła na całe lata u babki Clary, bo grzecznie się na to zgodziłam - zaczęła wyliczać Madison. - Babka ciągle mnie musztrowała, bo nie umiałam się jej sprzeciwić.

- Więc?

- Więc kiedy dorosłam, a babka akurat zmarła i zostawiła mi w spadku dom w Coulter City, cadillaca i jaki taki kapitał na życie, to powiedziałam: dosyć! Już nikt nie będzie za mnie decydował! Już nikt mną nie będzie rządził! Teraz ja stawiam wszystkim warunki! Za wszystko płacę i wymagam!

- Nie wszystko w życiu można kupić za pieniądze - zauważył filozoficznie Linc.

- I ty to mówisz, najbogatszy ranczer w rejonie San Antonio? - zdziwiła się Madison.

- Mam prawo - stwierdził z przekonaniem.

- Czyżby?

- Jasne! No, bo widzisz, Maddie, ze mną to jest mniej więcej tak... - Zaczął z powagą, w skupieniu tłumaczyć, starannie dobierając słowa i formułując myśli wyjątkowo celnie, choć nie bez pewnego wysiłku, naturalnego u człowieka, który nie przywykł do zbyt częstego wygłaszania dłuższych przemów. - Ja osobiście pochodzę z przyzwoitej, uczciwej, zgodnej, ale całkiem prostej i niesamowicie biednej teksaskiej rodziny...

- Więc? - Zachęciła go do dalszych zwierzeń dokładnie w taki sam sposób, jak przed chwilą on ją.

- Więc nikt mi niczego nie dał, w materialnym sensie, nikt mi niczego nie zapewnił na przyszłość, nawet porządnego wykształcenia, wiesz.

- Wiem!

- Skoro wiesz, to może darowałaś sobie tę niepotrzebną ironię? - rzucił z wyrzutem Linc, spoglądając na nią spod oka.

- Przepraszam - mruknęła.

- Jakoś to przeżyję.

- Mam nadzieję.

- No, więc - Linc wrócił do przerwane go wątku - nikt mi niczego nie zapisał w testamencie, żadnej forsy, żadnych akcji, żadnej ziemi, żadnego domu, żadnego samochodu, po prostu żadnego dobytku. Niczego. I przez to już od samego początku, znaczy odkąd skończyłem szesnaście lat, rzuciłem szkołę, wziąłem się do roboty i zacząłem życie na swój rachunek, byłem zdany tylko na własne siły, kiedy starałem się do czegoś dojść.

- Ale doszedłeś! - weszła mu w słowo Maddie.

- Owszem - przytaknął Linc. - Ale jak już do czegoś tam doszedłem, a trochę to trwało, bo po drodze przekroczyłem trzydziestkę, a teraz mam już trzydzieści jeden lat...

- To wtedy, co? - Maddie nie pozwoliła odbiec mu zbyt

daleko od zasadniczego tematu.

- To wtedy pojąłem - doszedł w swoim wywodzie do konkluzji - że gdyby nie miłość, jaką obdarowano mnie w dzieciństwie, że gdyby nie serdeczność, dobroć, życzliwość, a nawet zwyczajna pobłażliwość moich nieżyjących już rodziców i w ogóle moich najbliższych, to nigdy bym nie osiągnął tego, co osiągnąłem.

- Dlaczego? - Madison jakoś nie mogła rozszyfrować toku jego rozumowania.

- Bo nie wyrósłbym na wystarczająco mocnego człowieka - wyjaśnił jej Linc.

- To znaczy?

- Nie nabrałbym sił do samodzielnego działania, nie pozbyłbym się rozmaitych szczeniackich fanaberii i strachów.

Miałbym pietra przed życiem, rozumiesz?

- I co?

- I nie byłbym dzisiaj żadnym ranczerem, tylko zwyczajnym kowbojem, przyjmowanym na sezon albo na dniówkę do roboty przy koniach i bydło. Rozumiesz mnie, Maddie? - starał się upewnić.

- Nie całkiem - mruknęła. - Znam trochę teksaskich kowbojów i wiem, że lepiej im w drogę nie wchodzić, zwłaszcza gdy są po paru piwach czy szklaneczce whisky. Jak taki kowboj

może mieć pietra?

- No cóż! - westchnął Linc. - Kiedy taki typowy kowboj z Teksasu coś tam sobie po robocie albo od święta wypije, to nawet palnie czasem kogoś w gębę, żeby pokazać, jaki z niego chojrak.

- Ano właśnie.

- Ale co z tego, dziewczyno? - zapytał retorycznie Lincoln.

- Przecież ten biedak przez całe życie tylko tyra na cudzym za marnych parę dolców. I jeszcze stale portkami musi trząść przed szefem i pokornie prosić o każdą najmarniejszą podwyżkę. I przeważnie przez całe życie nie ma odwagi stanąć na własnych nogach!

- No, a ty, wspaniała Linc Coryell... - zaczęła z przekąsem Maddie.

- No, a ja właśnie się odważyłem! - przerwał jej. - Odważyłem się stanąć w dorosłym życiu na własnych nogach, między innymi prawdopodobnie dlatego, że byłem w rodzinnym domu traktowany jak... hm... - Linc zaczął szukać w myślach odpowiedniego określenia. - No, po prostu jak człowiek! Już w dzieciństwie...

- Do diabła z dzieciństwem! - wybuchnęła Madison. - I do diabła z tym całym gadaniem! Mam tego dosyć, rozumiesz? Dosyć!

Wybuchnęła tylko z pozoru dlatego, że zniecierpliwiał ją długi

wywód Lincolna. W gruncie rzeczy straciła panowanie nad sobą, ponieważ poczuła się rozżalona, rozgoryczona tym, że ją, w jej zamożnej rodzinie, powszechnie zaliczanej do teksaskiej elity towarzyskiej, przez wszystkie dziecięce lata traktowano bez porównania gorzej niż Lincolna w jego biednej, plebejskiej rodzinie. Na pewno nie jak pełnoprawnego człowieka, jak pełnoprawną, choć małoletnią, ludzką osobę, która ma jakieś tam uczuciowe potrzeby, jakieś pragnienia, jakieś obawy, jakieś ambicje, jakąś dumę. Traktowano ją raczej jak przedmiot, który można przestawiać w domu w dowolny sposób, z miejsca na miejsce. Na domiar złego bardzo często jak niepotrzebny przedmiot.

- Złe miałaś dzieciństwo, Maddie, prawda? - zapytał cicho Linc.

Machnęła ręką.

- Było, jakie było, ale teraz jestem przynajmniej finansowo niezależna i nikogo się nie boję — stwierdziła z udawanym, nieautentycznym samozadowoleniem.

- Naprawdę? - ironicznym tonem spytał Linc.

- Jasne! - brnęła dalej w niepotrzebny fałsz.

- To po jakie licho - palnął bez ogródek, zirytowany jej nieoczekiwaną hipokryzją - kiedy tylko wielce szanowna mamusia raczyła kiwnąć na ciebie palcem, na siłę pchałaś się do mojej cieszki, zamiast spokojnie poczekać na normalny rejsowy

samolot?

- Nie chciałam czekać, bo mi się śpieszyło - odpowiedziała lakonicznie.

- Ale przecież masz lęk przestrzeni i nie znosisz awionetek - zauważył Linc.

- Skąd wiesz?

- Widać to było po tobie aż za dobrze w czasie lotu, już od samego początku, od startu! Bałaś się lecieć, a mimo wszystko wsiadłaś do mojej cessny, bo pewnie bałaś się jeszcze bardziej, że jak nie przylecisz do Aspen w ściśle wyznaczonym terminie, to drugiego zaproszenia na rodzinny weekend już nie będzie. No, powiedz szczerze, mam rację, czy nie?

Linc wyrzucił z siebie wszystko, co mu leżało na wątrobie, zakończył wywód pytaniem i umilkł.

Maddie też milczała, nie kwapiąc się do udzielenia odpowiedzi. Nie chciała bowiem przyznać Lincolnowi racji, a nie była przecież w takim stopniu obłudna, bezkrytyczna czy naiwna, by w żywe oczy zaprzeczyć oczywistej, jednoznacznej prawdzie jego słów.

Cóż zatem mogła zrobić, wysłuchawszy w ciągu kilku minut nauk, wygłoszonych wprawdzie przez faceta bez matury, a jednak znacznie sensowniejszych i bez porównania istotniejszych niż wszystkie mądrości, jakimi karmiono ją przez kilkanaście lat w



drogiej prywatnej szkole dla dziewcząt „z dobrych domów”?

Mogła się nadąsać i rozzłościć.

Albo rozpłakać.

Tym razem wypadło na to drugie.

- Nie płacz, Maddie, nie chciałem cię urazić - szepnął

Linc, widząc w jej oczach łzy.

- Tylko co? - wykrztusiła.

- Raczej pomóc.

- W czym?

- W pracy nad sobą - powiedział przyjaznym, pełnym troski tonem.

I objął ją mocno.

I przytulił.

Nie wrywała się ani nie próbowała z przekory odsunąć się na skraj koca.

W ramionach Lincolna Coryella było jej przecież ciepło i bezpiecznie.

W ramionach Lincolna Coryella było jej przecież naprawdę dobrze.

W ramionach Lincolna Coryella było jej, prawdę mówiąc, lepiej tu, w Górach Skalistych, na brudnym kocu rozesłanym na wilgotnej ziemi, z głową tuż przy kopcącym ognisku i z niemiłosiernie brudnym i najprawdopodobniej zapchlonym

psiakiem, znajdują w nogach, niż w pościelonym przez pokojówkę, wygodnym i sterylnie czystym łóżku we własnym eleganckim domu w Coulter City albo w jakimś najbardziej nawet luksusowym nowojorskim hotelu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Hej, hej, Maddie!

Linc obudził ją tym wesołym okrzykiem dopiero na śniadanie.

Gdy otworzyła oczy i wygrzebała się spod koca, zorientowała się, że on już od dawna nie śpi, bowiem nie tylko zdążył nałowić na śniadanie ryb, ale prawie zdążył je upiec.

Hope też już nie spała. Siedziała przy ognisku i z ogromną uwagą śledziła każdy ruch Lincolna.

- Nasz pies jest chyba wściekle głodny - wyjaśnił. - Ty pewnie też, prawda?

- Jak pies - zażartowała.

- Ale poza tym, to chyba całkiem dobrze się czujesz po wczorajszym, prawda?

- Owszem, całkiem dobrze potwierdziła cokolwiek bez przekonania.

Ponieważ jednak uzmysłowiła sobie, że w ramach sugerowanej przez Lincolna pracy nad sobą powinna chyba nauczyć się również optymizmu, szybko dodała:

- Czuję się świetnie!

Po popołudniowej burzy, wieczornej ulewie i wciąż wilgotnej, dosyć chłodnej nocy, ranek był rześki, lecz pogodny. W promieniach słońca świat prezentował się całkiem przyzwoicie. Wszędzie wokół było zielono, pachniało lasem, wysoko w koronach drzew podśpiewywały ptaki.

Nawet pieczone bez przypraw na ognisku ryby wydawały się Maddie smaczniejsze niż kiedykolwiek dotąd, a droga przez góry robiła na niej wrażenie zdecydowanie mniej męczącej niż poprzedniego dnia.

A może po prostu przyzwyczaiałam się do wędrówki? - zaczęła medytować podczas marszu. Może przestałam się nad sobą rozczulać jak jakaś ostatnia oferma? Albo jak beznadziejna egoistka.

W istocie, egoizm był dla Madison St. John w ciągu ostatnich kilku lat, od chwili śmierci babki i uwolnienia się tym samym spod jej surowej kurateli, czymś w rodzaju programu na życie.

Jak zaprogramowana - myślała tylko o sobie, troszczyła się tylko o siebie, dbała wyłącznie o zaspokojenie własnych potrzeb, zachcianek i kaprysów.

Dbiała o zdrowie.

Dbiała o linię.

Dbiała o cerę.

Dbiała o modny wygląd.

Jednak tak się jakoś składało, że wystrojona, wypielegnowana, wyperfumowana, nafaszerowana zestawami witamin i minerałów oraz - profilaktycznie - kilkoma co najmniej rodzajami innych medykamentów i parafarmaceutyków, bynajmniej nie czuła się ani zdrowsza, ani piękniejsza, ani szczęśliwsza.

Psychiczny dyskomfort, melancholię i przygnębienie próbowała więc z kolei zwalczać środkami antydepresyjnymi najnowszej generacji, szeroko reklamowanymi przez producentów jako „pigułki szczęścia” i skwapliwie ordynowanymi wszystkim zamożnym, znerwicowanym pacjentom przez wyjątkowo wziętych i w związku z tym również wyjątkowo drogich nowojorskich specjalistów.

Mimo głośnej reklamy i wygórowanej ceny, żadne pigułki nigdy jej jednak tak naprawdę nie pomagały wyjść z psychicznego dołka.

Zwalczała więc złe humory po swojemu, wybuchami wściekłości z byle powodu, wybuchami, w których wyżywała się na innych ludziach za wszelkie własne przykrości, niepowodzenia,

niedomogi i defekty, te prawdziwe i te wymaginowane.

Zbyt cienkie włosy - winna fryzjerka!

Krucze paznokcie - winna manikiurzystka!

Krostka na twarzy - winna kosmetyczka!

Brak apetytu albo wręcz przeciwnie, napad łakomstwa -  
winien kelner w restauracji!

I awantura, awantura, awantura. Awantura o to, o tamto, o  
owo.

Własną służbę domową - to znaczy młodą pokojówkę  
Charlene, kucharkę w średnim wieku, Esmeraldę, i starszawego  
już Johna, kierowcę cadillaca - Maddie St. John, największa  
złoźnica w całym Coulter City i okolicach, przyzwyczała się winić  
właściwie za wszystko.

No i oczywiście ganić, upominać, strofować, besztać, łajać.  
Na okrągło, niemal bez przerwy, nieustannie!

I jak ja mogłam się tak paskudnie, tak obrzydliwie  
zachowywać, przez te wszystkie lata? - zastanawiała się teraz ze  
zgrozą, przemierzając w ślad za Lincolnem bezkresne i bezludne  
leśne pustkowia Gór Skalistych i równocześnie analizując własne  
postępowanie sprzed lotniczej katastrofy.

Że też John mnie nie zepchnął razem z cadillakiem w jakąś  
przepaść!

Że też Esmeralda nie podała mi na kolację muchomorów w

arszenikowym sosie!

Że też Charlene nie przyłożyła mi szczotką do zamiatania albo przynajmniej nie zamknęła mnie na pół dnia w szafie razem z kieckami, które z maniackim uporem w kółko kazałam jej prasować, nawet jeśli tylko wisiały nie noszone na wieszakach!

Pewnie się bali, bo nie chcieli stracić pracy, doszła po jakimś czasie do oczywistego wniosku. A kelner nie chciał stracić klientki i napiwków, tak samo jak fryzjerka, manikiurzystka, kosmetyczka.

Trzymałam ich wszystkich przy sobie wyłącznie siłą moich pieniędzy, monologowała w myślach. Byłam zawsze arogancka, nieprzyjemna, nieznośna, byłam dla nich po prostu okropna, ale płaciłam im, i to nawet dość hojnie, więc się ze mną cierpliwie męczyli.

A jakby mi tak kiedyś zabrakło forsy na pensje i napiwki, to co? - zadała sobie pytanie.

Pewnie natychmiast wszyscy odwróciliby się ode mnie! - odpowiedziała na nie w myślach, nie potrzebując zbyt długiego czasu do zastanowienia.

Odwróciliby się ode mnie tak samo nagle, jak ja pięć lat temu odwróciłam się od Caitlin Bodine, mojej ciotecznej siostry i przez długi czas najbliższej, najserdeczniejszej przyjaciółki! - uzmysłowiła sobie z głębokim smutkiem, zmieniawszy nieco temat rozmyślań.

Zerwałam z Caitlin z powodu Beau. Ale właściwie bez powodu, skoro Beau zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku, a nie przez nią, jak to sobie w swoim czasie ubrdałam razem z kilkoma innymi osobami z najbliższej rodziny i czego się wciąż trzymałam, nawet wtedy, kiedy rodzony brat zmarłego, Reno Duvall, brał z Caitlin ślub.

Nie chciałam wierzyć Caitlin, chociaż uwierzył jej szeryf, sędzia i wszyscy rozsądni ludzie z okolic Coulter City. Nie chciałam jej nawet wysłuchać, oskarżała się w duchu Maddie. Wołałam z nią zerwać i zapamiętać się w bezmyślnej i bezsensownej nienawiści.

Po co?

Może po to - biła się z myślami - żeby mi było łatwiej idealizować Beau Duvalla, w którym kochałam się na zabój jako nastolatka i w którym wyjątkowo wygodnie było mi kochać się nadal, właśnie dlatego, że był już tylko cieniem, wspomnieniem, wyobrażeniem.

Był nierealnym, a więc po prostu wymarzoną - konkludowała z przekąsem - obiektem uczuć dla egoistki, gotowej z miłości wzdychać, usychać, a nawet szaleć, byle bez konieczności rezygnacji z własnych kaprysów i bez konieczności akceptacji potrzeb drugiej osoby.

Beau był. A Caitlin jest! I jest jej mąż Reno.

I oprócz nich jest jeszcze mnóstwo innych ludzi, którym należy się ode mnie po powrocie z gór coś w rodzaju wyjaśnień czy może nawet przeprosin, doszła do wniosku Maddie St. John,

I obiecała sobie natychmiast uroczyście, że zrobi to, jak tylko wróci do Coulter City.

- Boże, ale kiedy to będzie? - westchnęła.

Bo na razie wciąż tylko szli, szli i szli przez dzikie i bezludne góry, nie zatrzymując się nigdzie po drodze bodaj na moment.

Dopiero wczesnym popołudniem Lincoln zarządził nieco dłuższy postój.

Madison była tak zmęczona, że po prostu usiadła na ziemi, tam gdzie akurat stała, opierając się plecami o najbliższe drzewo.

Linc przysiadł nieopodal na jakimś zwałonym pniaku.

Hope, którą do tej pory niósł za pazuchą, ułożyła się spokojnie na trawie w osłonecznionym miejscu i zaczęła drzemać.

Nagle zerwała się i ostrzegawczo warknęła.

I jeszcze raz.

I jeszcze.

- Spokój, Hope! - skarcił ją Linc. - Leżeć.

Psiak, rad nierad, uciszył się i wrócił do poprzedniej pozycji, wciąż jednak obracał łebkiem to w jedną, to w drugą stronę i uparcie niuchał.

- Co ona mogła zwietrzyć? - spytała zaniepokojona



Madison.

- Może wiewiórkę? - mruknął Linc. - Albo kreta, lub królika?
- I od razu tak warczy?
- Przecież dla niej to są wszystko okazy grubego zwierza, nie sądzisz? Taka pchełka, jak ona, to nawet na muchę gotowa powarkiwać! - Linc roześmiał się głośno z własnego dowcipu.

Maddie tylko grzecznościowo skrzywiła usta, zupełnie bez przekonania. Zbyt poważne sprawy roztrząsała przez cały dzień, żeby teraz z byle czego chichotać.

I zbytnio się obawiała, że powodem dziwnego, alarmującego zachowania małej Hope może być jednak wyczuwalna dla wrażliwego psiego nosa woń niedźwiedzia albo innego dzikiego drapieżnika.

Po mniej więcej półgodzinnym odpoczynku ruszyli w dalszą drogę.

Linc niósł worek i Hope. Psina od czasu do czasu powarkiwała, Linc ją wówczas uciszał. Natomiast Maddie rozglądała się z uwagą i niepokojem, wypatrując tajemniczego niebezpieczeństwa.

Marsz był w związku z tym dość męczący i Linc zdecydował, że trzeba dać sobie spokój z dalszą wędrówką i zatrzymać się już na noc. Wypatrzył na biwak dość sympatyczne

miejsce nad strumieniem.

Zostawił tam pod opieką zmęczonej Maddie i rozdrażnionej Hope swój worek, a sam zaczął krążyć po najbliższej okolicy w poszukiwaniu drewna na ognisko.

Ponieważ Hope wciąż sprawiała wrażenie dość niespokojnej, Madison znalazła sobie na wszelki wypadek pokaźny kawał suchego kija do obrony, długi na przeszło metr i gruby niemal jak jej szczupła ręka.

Z taką maczugą w dłoni, a właściwie w dwóch, bo jedną nie była w stanie jej porządnie uchwycić, poczuła się od razu nieco pewniej. Na tyle nawet pewnie, że zaczęła na próbę robić zamachy i okładać kijem gruby pień drzewa, chcąc się przekonać, czy jej broń jest wystarczająco mocna i w ewentualnym starciu z jakimś napastnikiem nie rozsypie się w drzazgi przy pierwszym uderzeniu.

Kij okazał się bardzo mocny. Usatysfakcjonowana Maddie już miała zamiar przysiąc z nim na warcie przy worku, gdy nagle Hope zaczęła zaciekle ujadać i z polanki nad strumieniem z jazgotem rzuciła się w las.

Pod wpływem jakiegoś impulsu, odruchu - no, bo przecież nie zdrowego rozsądku Maddie, zupełnie bez zastanowienia, ruszyła za nią ze swoim kijem w rękę.

Biegając za psiakiem, przedarła się najpierw przez jakieś

chaszczę, później wspięła się na niewielką wyniosłość, następnie zbiegła po jej przeciwległym stoku troszeczkę niżej i... nagle stanęła jak wryta.

Ujrzała bowiem przed sobą polankę, a na niej Hope, która czujnie warowała naprzeciwko czegoś, co z dystansu przypominało... pomnik.

Cokół stanowił głaz, rozłożysty, choć niewysoki, bo najwyżej półmetrowy. A na tym cokole, jako posąg, stał w pełnym napięcia bezruchu... potężny płowozłocisty kuguar, inaczej - puma, największy z północnoamerykańskich dzikich kotów, znacznie przerastający rozmiarami doga, mastyfa czy bernardyna, a cóż dopiero takiego mikrusa jak Hope.

Teraz byli już na polance w trójkę.

Dziki, drapieżny kot, zdolny jednym uderzeniem potężnej łapy, zakończonej ostrymi jak sztylety pazurami, powalić jelenia.

Pies płci żeńskiej, pełen wprawdzie myśliwskiego zapachu, jednak tak filigranowy, że nawet wiewiórka mogłaby być dla niego okazem „grubego zwierza”.

I drobna blondynka o szafirowych oczach, z grubym kijem w ręku, oniemiała i znieruchomiała z przerażenia.

Są na polanie w trójkę - blondynka, kuguar i pies.

Mija jedna sekunda, druga, trzecia.

Napięcie rośnie, choć na razie jeszcze nic się nie dzieje.

Mija czwarta sekunda, mija piąta.

I oto wydarzenia zaczynają się rozgrywać w przyśpieszonym tempie.

Szósta sekunda.

Kuguar jeszcze stoi nieruchomo, już jednak zaczyna się jeżyć i prężyć, mrużąc przy tym swoje hipnotyzerskie kocie ślepie, których spojrzenie zdolne jest obezwładnić ofiarę już na odległość.

Siódma sekunda.

Wychowany wśród ludzi i w związku z tym przekonany o wszechmocy człowieka niefrasobliwy pies zaczyna poszczekiwać, uważając zapewne, że skoro wystawił swojej pani zwierzynę, to teraz powinien ją jakoś zdopingować do rozpoczęcia polowania. .

Ósma sekunda.

Zniecierpliwiony kuguar wydaje z siebie ostrzegawczy basowy pomruk, przypominający ryk lwa albo dalekie dudnienie grzmotu.

Dziewiąta sekunda.

Powodowany wrodzonym myśliwskim instynktem pies, nie bardzo widać świadomy własnych prawdziwych sił i możliwości, a przy pani na wyrost odważny, doskakuje do głazu i zaczyna ujadać.

Dziesiąta sekunda.

- Hope! Do nogi! - przeraźliwie krzyczy Madison, mając

nadzieję, że psiak się wycofa i razem z nią zrejteruje z fatalnego miejsca.

Jedenasta sekunda.

Psiak cofa się, ale tylko trochę i nadal denerwująco szczeka.

Dwunasta sekunda.

Kuguar traci cierpliwość.

Trzynasta sekunda.

Posąg zeskakuje z cokołu.

To znaczy potężny płowozłocisty kuguar zeskakuje z głazu, lekko, płynnie, pięknie, z typowo kocią gracją.

Czternasta sekunda.

Kuguar rusza powoli w kierunku psa, by go uciszyć, rozrywając na strzępy, ale małeńki pies o wielkim sercu wcale się nie cofa, tylko najwyraźniej chce osłonić Maddie, którą ma w tym momencie za sobą.

Piętnasta sekunda.

Kuguar pręży się do skoku.

Szesnasta sekunda.

Zdesperowana Maddie jest szybsza!

We frontalnym ataku na dzikiego zwierza rusza do przodu jak burza, mija Hope, swoją miniaturową obrończynię, i nie zważając na śmiertelne niebezpieczeństwo, wrzeszczy wniebogłosy i wymachuje kijem.

I kuguar rezygnuje z ataku!

Siedemnasta sekunda.

Kuguar uskakuje w bok, a potem oddała się błyskawicznie, ginąc bez śladu w rozpościerającej się wszędzie wokół polany leśnej gęstwinie.

Kiedy minęło tych siedemnaście dramatycznych sekund, zszokowana Maddie już nawet nie była stuprocentowo pewna, czy naprawdę widziała przed sobą niebezpiecznego dzikiego kota, czy może tylko miała jakieś koszmarne przywidzenia, przerażające halucynacje.

Odrzuciła na bok swój kij, dopadła do Hope, wzięła ją na ręce i przytuliła. Równocześnie zaczęła trząść się na całym ciele i histerycznie płakać.

- Co się z tobą dzieje, dziewczyno? - zawołał z daleka zdenerwowany Linc, który właśnie biegiem wpadł na polankę, zaalarmowany krzykami i ujadaniem, ale niczego już nie widział.

Ponieważ Maddie milczała, wciąż drząc na całym ciele i łkając, podbiegł bliżej i zapytał jeszcze raz:

- Co tu się stało?

Maddie spojrzała na niego i spróbowała uśmiechnąć się przez łzy.

- Wystraszyłam przed chwilą takiego wielkiego dzikiego kota, chyba kuguara - zdołała jeszcze odpowiedzieć zdławionym

głosem i nagle poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa, a wszystko, co wokół siebie widzi, zaczyna jej coraz szybciej i szybciej wirować przed oczyma i w końcu znika w całkowitej ciemności.

W tym momencie osunęła się na ziemię i po raz trzeci od momentu lotniczej katastrofy zemdląca.

Kiedy ocknęła się z omdlenia nad strumieniem, w miejscu wybranym wcześniej na biwak, zapytała zdziwiona:

- Skąd się tu wzięłam?

- Przytachałem cię z tamtej polany przy głazie - wyjaśnił jej Linc.

- Na rękach?

- A jakże!

- No, a Hope?

- Przybiegła na piechotę.

- To ona wyniuchała kuguara, wiesz?

- Już dostała za to parę klapsów.

- Dlaczego?

- Naiwna dziewczyno! - zirytował się Linc. - Czy ty wiesz, co to potężne kocisko mogłoby z wami obydwoma zrobić, gdyby tylko zechciało?

- Wyobrażam sobie - mruknęła Maddie,

- A ja nie muszę sobie nawet wyobrażać.

- Jak to?

- Bo na własne oczy widziałem niedaleko stąd w gąszczu dorodnego jelenia, którego uśmiercił i nadzwał ten drapieżny kocur

- wyjaśnił Linc.

- Brr! - otrząsnęła się z przerażeniem i wstrętem Maddie. -  
Uśmiercił i nadzwał!

- Nadzwał na wasze szczęście! Bo gdyby był głodny, to...

- To co?

- Ech, nawet szkoda gadać! - Linc machnął ręką i zawiesił znacząco głos.

- Ale ja tego kuguara wystraszyłam! - chętnie stwierdziła Maddie.

- Na głodniaka byłby na pewno odważniejszy - mruknął Linc. - Wtargnęliśmy przecież na jego teren - dodał gwoli wyjaśnienia.

- Ojej! To co teraz z nami będzie? - zafrasowała się Madison.

- Musimy się stąd wynieść jak najprędzej. Dasz jakoś radę iść?

- Mam nadzieję - jęknęła.

- Maddie, jak już wyjdziemy z tych gór i wrócisz do domu, do Coulter City, to powinnaś od razu zająć się swoją kondycją, jakoś się odżywić i wzmocnić, rozumiesz, bo jesteś trochę zanadto



anemiczna - stwierdził z troską Linc. - A tymczasem rezygnujemy z biwaku i przenosimy się gdzie indziej! - zarządził.

- Późno się robi - zauważyła, stając z wysiłkiem na trochę chwiejnych jeszcze nogach. - Jak stąd pójdziemy, to gdzie będziemy dziś spali?

- Bóg raczy wiedzieć, dziewczyno - powiedział Lincoln i bezradnie rozłożył ręce. - Ale trzeba stąd iść, bo po zmroku ten wystraszony przez ciebie kuguar na pewno zdobędzie się na odwagę i wróci, żeby zżreć kolejną porcję jelenia, a przy okazji i z nami zrobić porządek!

Scandalous

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Oddalając się przezornie z myśliwskiego rewiru kuguara, Linc i Maddie szli szybkim krokiem mniej więcej przez godzinę, zanim zdecydowali się zatrzymać na pierwszy krótki odpoczynek.

Przysiedli w milczeniu, zbyt zmęczeni, żeby prowadzić jakąkolwiek konwersację. Dopiero po pewnym czasie Linc rzucił:

- Słyszysz?

- Słyszę ptaki - mruknęła Maddie. - Nawet ładnie śpiewają, owszem.

- Mniejsza z ptakami i z ich pięknym śpiewem! - zniecierpliwił się. - Pytam cię, czy słyszysz ten... jakby... szum.

- Jasne, że słyszę - przytaknęła. - To drzewa szumią na wietrze.

- Nie, to nie to - stwierdził Linc, kręcąc głową i zaczął nasłuchiwać jeszcze uważniej niż dotąd, odwracając się to w jedną, to w drugą stronę, a nawet, starym indiańskim zwyczajem, pochylając się nisko i przykładając ucho do ziemi. - To chyba jest...

- Burza? - przestraszyła się Madison.

- Nie - uspokoił ją. - Moim zdaniem raczej jakiś samochód.

- Naprawdę?! - krzyknęła Maddie i z radości zerwała się

na równe nogi, zupełnie zapominając o zmęczeniu.

- Tak mi się zdaje.

- Naprawdę - ciągle nie mogła uwierzyć - gdzieś tutaj niedaleko przejeżdżają samochody?

- Na to wygląda.

- Więc musi być jakaś autostrada!

- To chyba logiczne.

- Poszukamy jej?

- Jasne.

- No, to w drogę!

- Idziemy!

Szli szybko, najszybciej jak tylko mogli, pokonując zarośla, wykroty, zwalone pnie i inne naturalne leśne przeszkody i przemierzając w trochę nerwowym pośpiechu teren, który przez cały czas opadał, najpierw lekko, potem coraz stromiej. Aż w końcu zrobił się niebezpiecznie urwisty!

Znużona Maddie kilkakrotnie straciła równowagę i upadła, Linc zaczął ją asekurować, schodzili coraz niżej i niżej, przedzierając się przez jakieś gąszcze.

I nagle - zaskakująco nagle - znaleźli się na gładkim, płaskim jak stół asfalcie!

Górska droga, na którą natrafili, może nie autostrada, ale porządna, w miarę szeroka tranzytowa szosa, przeprowadzona była

tarasem po zboczu i z całą pewnością prowadziła skądś i dokądś.

- Hura! - wykrzyknęła triumfalnie Madison, rzucając się Lincowi na szyję. - Dokądkolwiek ta droga prowadzi, dojdziemy nią.

- Raczej dojdziemy! - huknął basem. Uradowani, ściskali się i całowali, a wypuszczona przez Lincolna zza pazuchy Hope, najwyraźniej dzielając ich radość, biegała wokół nich i wtórowała beztroskim okrzykiem głośnym, jazgotliwym szczekaniem.

- A jeśli nikt tędy nie jeździ? - zafrasowała się Maddie, gdy początkowa, szaleńcza wprost euforia nieco już u niej opadła.

- Niemożliwe - uspokoił ją Linc. - Sam przecież słyszałem jakiś samochód. Trzeba cierpliwie poczekać. Dziś mamy już poniedziałek, weekend skończył się wczoraj, więc tu w górach ruch może być niezbyt wielki, ale w końcu na pewno ktoś nadjedzie.

- Zanim ktokolwiek nadjedzie, powinniśmy się chyba trochę ogarnąć! - zauważyła, lustrując go badawczym, dość krytycznym spojrzeniem.

- Masz rację - przytaknął, przyjrzawszy się jej uważnie w rewanżu. - Bo jak się nam trafi strachliwy kierowca, to tylko doda gazu na widok takich oberwańców,

Żeby nie wyglądać na podejrzanych oberwańców, tylko na

zwykłych górskich turystów, czym prędzej przebrali się w to, co mieli w worku najlepszego: on w czystą flanelową koszulę i płócienne letnie spodnie, a ona w świeżą koszulową bluzkę i dzinsy.

Z niepokojem zaczęli wypatrywać jakiegoś pojazdu.

Czekali dosyć długo, bo co najmniej przez trzy kwadransy, w zapadającej stopniowo ciemności. Ale w końcu się jednak doczekali! Cierpliwość została nagrodzona.

Zza najbliższego zakrętu, z lewej strony, wyłoniła się w pewnym momencie z błyskiem reflektorów terenowa, turystyczna furgonetka. I zatrzymała się, na szczęście, kiedy zaczęli dawać znaki.

Najbliższą noc rozbitkowie z lotniczej katastrofy, Madison St. John i Lincoln Coryell, spędzili już w znanym amerykańskim kurorcie Colorado Springs, w zupełnie przyzwoitym motelu, w dwu sąsiadujących ze sobą przez ścianę pokojach z łazienkami, telefonami, telewizorami, czystą pościelą i wszystkimi innymi zdobyczami cywilizacji, w rodzaju mydła, pasty do zębów, ciepłej wody w kranie i toalety ze spłuczką.

Madison wzięła kąpiel, zjadła kolację i położyła się do łóżka. Natomiast Lincoln nakarmił tylko Hope i od razu pojechał taksówką na miejscowe lotnisko, żeby złożyć tam odpowiednim służbom naziemnym niezbędny raport o katastrofie swojej cessay.

Kiedy wrócił, Maddie już dawno spała, oczywiście u siebie. Hope również, tyle że w jego pokoju, na dywanie, pilnując rzuconego w kąt worka z kocem, folią, liną, latarką i kilkoma sztukami damskiej i męskiej garderoby, które nadawały się już chyba tylko do wyrzucenia.

Linc wziął prysznic, zjadł coś w hotelowym barze i również poszedł spać.

Nazajutrz rano, nie budząc Madison, wziął Hope na ręce i wybrał się z nią do niedalekiej lecznicy weterynaryjnej, żeby znaleźć przebadać, zaszczepić, a przy okazji może również odpchlić i w ogóle jakoś w fachowy sposób doprowadzić do porządku.

W lecznicy, ku własnemu ogromnemu zdumieniu, Linc dowiedział się od przyjmującego czworonożnych pacjentów doktora, że szarobury mikrus o skołtunionej sierści, którego przyniósł pod pachą, nie jest bynajmniej kundelkiem, tylko rasowym yorkshire terierem!

Hope była wyraźnie dumna ze swego świeżo ujawnionego arystokratycznego rodowodu. Do motelu wróciła już nie za pańską pazuchą, tylko na piechotę, krocząc z gracją na eleganckiej, ozdobnej smyczy i raz po raz z godnością potrząsając łebkiem, zapewne z uwagi na fantazyjną czerwoną kokardkę, przy pomocy której młoda asystentka weterynarza zebrała, po uprzednim starannym rozczesaniu, jej długą, opadającą na oczy sierść w

śmieszoną kitkę.

Natychmiast po powrocie Hope donośnym poszczekiwaniami obudziła Madison.

- Dziewczyno, masz pojęcie, co to jest za pies? - zapytał Lincoln, gdy Maddie, ubrana w hotelowy szlafrok, wyjrzała ze swego pokoju przez uchylone drzwi.

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznała. - Wcale się na psach nie znam, bo w dzieciństwie babka nie pozwalała mi trzymać w domu żadnego, a później sama nie chciałam sobie robić kłopotu.

- Ja też się nie znam na psach, tylko na koniach i krowach, ale weterynarz mi powiedział...

- To ty zdążyłeś już dzisiaj pójść z Hope do lekarza? - zdziwiła się Madison.

- Jasne! - przytaknął Linc. - No więc, wyobraź sobie - zaczął relacjonować z entuzjazmem - ten weterynarz mi powiedział, że Hope to wcale nie kundelek, tylko autentyczny york, taki miniaturowy terier.

- Ojej, a teriery to chyba psy myśliwskie, na dodatek raczej ostre!

- Dlatego pewnie nasza Hope próbowała osaczyć kuguara!  
- stwierdził ze śmiechem Lincoln.

Maddie również się roześmiała. Jednak już po krótkiej chwili

wesołości zrobiła się niesamowicie poważna.

Wypowiedziane przez Linca słowa - „nasza Hope” - uzmysłowiły jej bowiem fakt, że jako wędrujący przez Góry Skaliste rozbitkowie z lotniczej katastrofy połączeni byli wspólnym losem: razem spali pod gołym niebem przy ognisku, razem mokli, razem jedli, razem szli.

A teraz, poza wspomnieniem tamtej wspólnoty, pozostał im już tylko wspólny pies. Bo oni sami, po powrocie do cywilizacji, natychmiast zrobili się „osobni”.

Osobno zjedli kolację, noc w motelu spędzili w osobnych pokojach.

I teraz, lada chwila, lada godzina, po załatwieniu wszystkiego, co niezbędne w Colorado Springs, mieli wrócić każde do swojego osobnego domu, każde do swoich osobnych spraw i problemów.

Każde do swego osobnego życia!

Maddie uzmysłowiła sobie nagle, że wcale nie jest pewna, czy powinna cieszyć się z tego powodu, czy smucić.

Czuła się jakoś dziwnie.

Zdawała sobie sprawę, że trochę tęskni za swoim domem i za rodzinnym Teksasem. Ale równocześnie miała świadomość, że tęskni też, i to być może nawet mocniej, za... Górami Skalistymi, które dopiero co z taką ogromną ulgą opuściła.



Dlaczego tęskni?

Proste. Bo przecież właśnie tam, w Górach Skalistych, w ciągu ostatnich czterech dni przeżyła największą i najważniejszą przygodę swojego życia.

Przeżyła przygodę?

A może raczej odebrała lekcję?

Albo - przeszła metamorfozę?

Czyli zmieniła się, jeśli chodzi o charakter, stała się trochę inna, a może nawet całkiem inna, niż była dotychczas!

Pod wpływem Linca, to oczywiste.

Pod wpływem przystojnego trzydziestojednoletniego ranczera bez matury, który stał się dla niej zupełnie nieoczekiwanie kimś w rodzaju duchowego przewodnika.

Kimś, kto pokazał jej, że życie może mieć swój smak, swój cudowny smak, nawet wtedy kiedy smakuje rybą złowioną na sznurowadło i upieczoną bez przypraw nad ogniskiem. I kiedy smakuje najzwyklejszą wodą, chleptaną spragnionymi ustami prosto ze strumienia.

Kimś, kto podpowiedział jej, jak warto, a jak nie warto żyć.

Kimś...

Właśnie tam, w górach, Linc Coryell był dla niej naprawdę kimś!

A teraz był już prawie nikim.

Obcym człowiekiem.

Przypadkowo poznanym mężczyzną, z którym już za chwilę powinna się pożegnać i rozstać.

Powinna się z nim rozstać, a przecież czuje, że wcale tego nie chce!

Maddie uzmysłowiła sobie nagle, że wcale nie ma chęci żegnać się z Lincolnem. Wprost przeciwnie, bardzo chce, żeby ich czterodniowa znajomość trwała nadal. I żeby przerodziła się z czasem w coś poważniejszego!

Stojąc w szlafroku w uchylonych drzwiach swego pokoju w motelu w Colorado Springs, Maddie uświadomiła sobie jasno i wyraźnie, jak bardzo jej zależy na Lincolnie. Wciąż jednak nie miała pojęcia, czy jemu zależy na niej.

Postanowiła dyplomatycznie to wy badać.

- I co planujesz teraz robić, Linc? - zapytała, starając się o możliwie obojętny ton. - Wracasz może już dzisiaj do Teksasu?

- Nie tak od razu - odpowiedział. - Najpierw wynajmę tu na miejscu jakiś helikopter i spróbuję poszukać w górach mojej cenny. Może ją jeszcze przetransportuję do remontu, jeśli jej wybuch paliwa nie zniszczył? Albo chociaż zabiorę z niej co nieco.

- Na przykład?

- Zostało tam trochę różnych rzeczy, moich i nie tylko. Jak

znajdę coś twojego w dobrym stanie, to ci prześlę do Coulter City.

- Dzięki - mruknęła Madison.

Pomyślała z goryczą, że skoro Linę Coryell nawet nie chce skorzystać z wygodnego pretekstu do odwiedzin i przywieźć tych rzeczy osobiście, to pewnie uważa ich znajomość za ostatecznie zakończoną i wcale nie ma chęci jej kontynuować.

Niestety, nie zależy mu na mnie, doszła do smutnego wniosku. Więc, to już koniec. Prawie koniec, bo trzeba jeszcze uzgodnić, co z psem.

- Weźmiesz Hope? - zapytała zdławionym głosem.

Linc pokręcił przecząco głową.

- Ty ją weźmiesz - zarządził. - Taki rasowy, salonowy piesek z kokardką będzie znacznie lepiej pasował do ciebie i do twojego domu w Coulter City niż do mnie i do mojego rancza.

- Cóż, skoro uważasz, że tak bardzo do siebie nie pasujemy, to...

- ...to dobrze, że się chociaż czasem zgadzamy! - rzucił Linc, wyraźnie starając się nie przedłużać rozmowy. - Ty bierz Hope i wracaj do domu, a ja wezmę się jeszcze dzisiaj za załatwianie spraw związanych z moją cesseną. Zaraz chyba pojedę znowu na lotnisko. O właśnie! - skojarzył. - Kupić ci może bilet na samolot?

- Dziękuję, nie - odmówiła Maddie. - Samolotów mam na

razie dość, wolę samochód z wypożyczalni. Zresztą, Hope też będzie wygodniej na siedzeniu obok mnie niż w klatce w luku bagażowym.

- Rozumiem. W takim razie wynajmę ci ten wóz - zaproponował Linc.

- Nie trzeba.

- Naraziłem cię na kłopoty, więc chociaż wydatków chciałbym ci oszczędzić.

- Nie trzeba - powtórzyła Madison. - Mam przecież przy sobie pieniądze i karty kredytowe. Poza tym, nie zapraszałeś mnie na pokład swojej awionetki, sama się wprosiłam cztery dni temu, więc muszę teraz sama ponieść konsekwencje lotu... finansowe... i w ogóle...

Wszystkie, łącznie z uczuciowymi! - miała ochotę wykrzyknąć. Powstrzymała się jednak od nadmiernie szczerych zwierzeń i umilkła.

- W ogóle, co? - spytał Lincoln.

- W ogóle, to chyba pora się pożegnać! - stwierdziła Madison. - Ty masz przecież swoje sprawy do załatwienia, ja mam swoje. Więc do widzenia, Linc - rzuciła krótko i raczej oschle, nie wyciągając nawet do niego ręki.

- Do widzenia, Maddie - odpowiedział z lekkim ukłonem.

- I do widzenia, Hope - zwrócił się do psiaka. - Słuchaj w drodze

pani, bądź grzeczna.

Madison skinęła głową, cofnęła się do pokoju i zamknęła za sobą drzwi, chcąc jak najprędzej się za nimi schować. Czuła bowiem, że z rozżalenia łzy napływają jej do oczu, a w żadnym wypadku nie chciała płakać przy Lincolnie Coryellu.

Przy mężczyźnie, któremu na jakimś tam wraku rozbitego w Górach Skalistych samolotu zależało widać bardziej niż na niej!

Przy mężczyźnie, na którym jej zależało bardziej niż na kimkolwiek na świecie.

Wynajętym w Colorado Springs samochodem Madison jechała do Teksasu trzy pełne dni, a kolejne noce spędzając w motelach.

Choć podróż była długa i dość męcząca, Hope nie sprawiała jej żadnych kłopotów. Była jednak przez całą drogę bardzo smutna. Maddie również, bo nieustannie myślała o Lincolnie!

Miniaturowa terierka i jej pani dotarły do Coulter City trzeciego dnia o dziesiątej wieczorem i nie budząc nikogo z domowników, od razu poszły spać.

Następnego dnia rano, kiedy Hope zaczęła się niespokojnie kręcić, Maddie nie przywołała pokojówki, tylko włożyła dres i wyprowadziła ją na niezbędny „toaletowy” spacer.

Później zajęła się swoją własną toaletą, to znaczy wzięła

prysznic i umyła włosy. Natomiast makijaż, na przekór wieloletnim przyzwyczajeniom, po prostu sobie darowała.

Pokojówka Charlene, kucharka Esmeralda i kierowca cadillaca John nie byli w stanie ukryć zdziwienia, kiedy ich młoda pracodawczyni po tygodniowej nieobecności zjawiała się w kuchni zupełnie nie umalowana, w dresie i na dodatek z pieskiem pod pachą. A jeszcze bardziej niż jej swobodny i bezpretensjonalny wygląd, zdumiały ich jej słowa:

- Witam was po powrocie z bardzo dalekiej podróży, moi drodzy. I od razu przepraszam was za wszystko, co kiedykolwiek było nie tak z mojej strony. Wybaczcie! Teraz już będzie inaczej, mam nadzieję. A to jest moja Hope - dodała na koniec, prezentując pieska i puszczając go na podłogę, by mógł przyjaźnie obwąchać i przywitać całą trójkę swoich nowych domowników.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Caitlin Bodine, po mężu od miesiąca Duvall, wiedziała z krążących po Coulter City plotek, że jej kuzynka Madison St. John, która nie utrzymywała z nią żadnych kontaktów od przeszło pięciu lat i nie zdecydowała się ich nawiązać ani w dniu pogrzebu ojca Caitlin, Jessa Bodine'a, ani też w dniu ślubu Caitlin z Reno Duvallem, bardzo się ostatnimi czasy zmieniła na lepsze.

Wedle zgodnych opinii pokojówki Charlene, kucharki Esmeraldy, szofera Johna, fryzjerki, kosmetyczki, manikiurzystki, kelnera z jej ulubionej restauracji, a także przeważającej większości sąsiadów oraz bliższych i dalszych znajomych, z aroganckiej egoistycznej złośnicy - by nie powiedzieć prosto z mostu: jędzy, wiedźmy, furii, zgagi czy wydry - Maddie stała się nagle niemalże aniołem dobroci. A przynajmniej porządnym człowiekiem. To znaczy osobą wyrozumiałą, łagodną, życzliwą, przyjazną. Troszeczkę wprawdzie przy tyra roztargnioną, zamyśloną i smutną, ale mimo to bez porównania sympatyczniejszą niż przedtem.

Przyczyny owej metamorfozy próbowano w przekazywanych sobie z ust do ust opowieściach wyjaśniać rozmaicie, tworząc co najmniej kilka wersji wypadków i snując różne domysły.

Naprawdę wiadomo bowiem było tylko tyle, że Maddie

wyjechała w któryś piątek na kilka dni do słynnego górskiego kurortu Aspen w Kolorado, w odwiedziny do swojej matki, Rosalind Hastings, z którą nie spotykała się wcale, odkąd została przez nią przed laty niefrasobliwie pozostawiona, a nazywając rzecz po imieniu - po prostu porzucona w Coulter City u surowej i zgryźliwej babki, Gary Chandler.

Wyjechała w piątek i wróciła dopiero po tygodniu, niewiarygodnie odmieniona.

Dlaczego?

Niektórzy utrzymywali, że w efekcie pojednania się z matką.

Inni, że wręcz przeciwnie, dzięki ostatecznemu zerwaniu z Rosalind, poprzedzonemu wykrzyczeniem nieczulej, kompletnie pozbawionej macierzyńskich uczuć rodzicielce prosto w twarz wszystkich nagromadzonych przez lata żalów i pretensji niekochanego dziecka.

Byli też tacy, którzy twierdzili, że matka nie miała z całą sprawą absolutnie nic wspólnego, albowiem Maddie wcale nie była w odwiedzinach u niej, tylko u jakiegoś tajemniczego adoratora, który, jak widać, ma na nią zbawienny wpływ.

Inni skłaniali się wprawdzie ku zbliżonej wersji wydarzeń, zastępowali jednak adoratora kimś innym. Zależnie od przeświadczenia: psychiatrą, psychoanalitykiem, hipnotyzerem, zielarzem, różdżkarzem, bioenergoterapeutą, pastorem, indiańskim



szamanem, buddyjskim mędrcem. A nawet panem St. Johnem, wyrodnym ojcem Maddie, który kiedyś tam wyniósł się do Europy i od lat nie dawał żadnego znaku życia, lecz w końcu przypomniał sobie o córce!

Ktoś żądny sensacji rozgłaszał również, że Maddie odbyła kilkudniowe rekolekcje i uroczyście ślubowała poprawę w siedzibie jakiegoś tajemniczego zgromadzenia religijnego.

Natomiast ktoś inny rozповідаł, że spędziła tydzień w jakimś szpitalu.

Albo w areszcie.

Albo w domu opieki społecznej, jako nieetatowa siostra miłosierdzia.

Albo jako wolontariuszka w schronisku dla zwierząt, skąd przywiozła sobie bezdomnego psa!

Wedle wersji najbardziej chyba fantastycznej ze wszystkich, jakie krążyły po rozplotkowanym prowincjonalnym Coulter City i rozchodziły się w promieniu co najmniej kilkudziesięciu kilometrów wokół miasta, docierając w ten sposób również do Caitlin, na ranczo Broken Ground - Maddie w drodze do Aspen cudem przeżyła katastrofę lotniczą i właśnie znalazłszy się na krawędzi życia i śmierci, przeszła zdumiewającą duchową metamorfozę.

Albo straciła pamięć.

Albo zakochała się w lotniku czy może raczej w ratowniku, ewentualnie w leśniku.

Caitlin Bodine, zagubiona w masie docierających do niej najrozmaitszymi drogami pogłosek, wielokrotnie miała zamiar zasięgnąć informacji z pierwszej ręki, czyli po prostu zadzwonić do Madison.

Wielokrotnie podchodziła do telefonu. Wielokrotnie podnosiła słuchawkę i zaczynała już nawet wybierać numer kuzynki w Coulter City. Za każdym razem jednak rezygnowała, nim Maddie zdążyła się zgłosić. Każdorazowo bowiem dochodziła do tego samego wniosku, że zbyt wiele je ostatnio dzieliło, a niegdyś, przed laty, łączyło, by mogły rozpocząć cokolwiek od nowa od zwykłej rozmowy telefonicznej.

Powinnyśmy się z Maddie spotkać, najlepiej w cztery oczy, myślała. I to najlepiej z jej inicjatywy, a nie z mojej, w momencie kiedy ona zechce pojednania między nami.

Bo ja go przecież chcę już od dawna, od samego początku! - stwierdzała w duchu z przekonaniem. Ja właściwie nigdy nie chciałam z nią zrywać, zawsze pragnęłam jej wszystko szczerze wyjaśnić, dokładnie wytłumaczyć, jak to było ze mną... i z Beau... i z jego tragicznym utonięciem. Ale ona nigdy nie zgodziła się mnie wysłuchać! Woląла uwierzyć plotkom, obmowom, oszczerstwom niż mnie, swojej ciotecznej siostrze i najbliższej

przyjaciółce z dzieciństwa, konstatowała Caitlin z goryczą. Nie dała mi szansy, niestety.

Czy Caitlin da mi jeszcze jakąś szansę, po tym wszystkim, co jej złego zrobiłam? - zastanawiała się Madison, odkładając z dnia na dzień podjęcie próby pojednania się z kuzynką.

Jakoś bez porównania łatwiej było jej przemóc się i powiedzieć „wybaczenie!” zupełnie obcym ludziom niż bardzo bliskiej krewnej i najbliższej powiernicy z lat dziewczęcych.

Bardzo chciała nawiązać kontakt z Caitlin.

Bardzo chciała się z nią porozumieć.

Bardzo chciała się z nią pogodzić.

Wciąż jednak nie była w stanie sięgnąć po słuchawkę i zdobyć się na wybranie ciągle, mimo upływu pięciu lat, przechowywanego w pamięci numeru telefonu na ranczu Broken Ground. Bynajmniej nie dlatego, że brakowało jej dobrej woli. Już raczej dlatego, że brakowało jej odwagi.

W końcu jednak się odważyła.

Wsiadła do samochodu i pojechała - bez swego kierowcy - do Broken Ground, chcąc mieć już wreszcie za sobą trudny życiowy krok.

Na miejscu okazało się, że to, co i tak było trudne, może być jeszcze trudniejsze. Madison nie zastała bowiem Caitlin w domu.

- Możesz przyjechać kiedy indziej, Maddie - stwierdził

Reno Duvall, nie bawiąc się w niepotrzebną dyplomację.

- Możesz też zaczekać, ale nie wiem, jak długo - zastrzegł  
- bo Caitlin jest od rana zajęta gdzieś na ranczu. No i możesz jej, oczywiście, poszukać - dodał na koniec.

- Jak wiatru w polu, prawda? - rzuciła pół żartem, pół serio.

- Wcale nie - zaprzeczył zdecydowanie Reno. - Powiem ci tak mniej więcej, w jakim rejonie rancza powinna być, dam ci osiodłanego konia, żebyś mogła tam dotrzeć. Bo wiesz - dodał trochę złośliwie - u nas, w Broken Ground, nie wszędzie da się dojechać cadillakiem.

- Wiem - ucięła krótko Maddie. - Ale przecież ja konno nie jeździłam od wieków! - zafrasowała się.

- Od wieków nie szukałaś też kontaktu z Caitlin - mruknął Reno. - Może warto połączyć jedno z drugim?

- Może warto, a może jednak nie... - Maddie zaczęła się wahać.

- A ostatecznie? - Z natury konkretny Reno Duvall nie zadowolił się wymijającą odpowiedzią.

- Ostatecznie poproszę cię o tego konia, cioteczny szwagrze  
- zdecydowała Ma son.

Reno pokiwał głową i zaprowadził ją do nowej, odbudowanej po pożarze stajni, gdzie osiodłał spokojnego gniadego wałacha. Po

czym pomógł Maddie dosiąść wierzchowca i udzieliwszy jej kilku wskazówek odnośnie kierunku jazdy, wyprawił ją w drogę.

Niech już się dzieje, co chce! - myślała, opuszczając obejście, mijając bramę i ruszając polną drogą w stronę dość odległego pastwiska. Już teraz w żadnym wypadku się nie cofnę. Póki nie znajdę Caitlin, nie zsiądę z tego konia, chyba że mnie zrzuci.

Po prostu nie spocznę - obiecywała sobie w duchu uroczyście - póki się z Caitlin nie spotkamy!

Spotkały się w kanionie. To znaczy w miejscu, w którym zginął przed pięciu laty Beau Duvall, porwany przez powodziową falę.

Ich drogi zbiegły się więc tam, gdzie się niegdyś rozeszły. Ktoś chyba celowo tak zrządził, tam, w górze.

Ktoś bardzo mądry chyba specjalnie tak to wszystko zainscenizował, żeby nie mogły pójść przypadkiem na łatwiznę i zacząć udawać, że nie pamiętają, jakie zdarzenie je rozdzieliło przed pięciu laty. Żeby musiały powiedzieć sobie nawzajem wszystko, do końca. I wszystko sobie na koniec wybaczyć!

Spotkały się zatem w kanionie.

Caitlin wyłoniła się na karym ogierze zza zakrętu, bo kanion nie był całkiem prostą skalną rozpadliną, tylko wił się kilkoma zakolami, podobnie jak wiła się płynąca jego dnem rzeka, w tym

momencie na pół wyschnięta, leniwa, więc w związku z tym i niegroźna.

Madison odruchowo zatrzymała swego wierzchowca na widok kuzynki.

Caitlin, która też zatrzymała konia, uważnie zmierzyła ją wzrokiem.

Madison spuściła oczy, spodziewając się wyrzutów, pretensji lub oskarżeń. I usłyszała tylko jedno słowo, wypowiedziane przez Caitlin zdławionym ze wzruszenia głosem:

- Witaj!

I sama wypowiedziała również tylko jedno słowo:

- Wybacz!

Caitlin Bodine - Duvall w milczeniu zsiadła z konia.

Maddie St. John również zsunęła się z siodła.

Caitlin postąpiła krok do przodu.

Maddie podobnie.

I jeszcze jeden.

I jeszcze.

Cioteczne siostry i najlepsze przyjaciółki z lat dziewczęcych spotkały się dokładnie w połowie oddzielającego je kilkumetrowego dystansu i łkając, rzuciły się sobie w ramiona!

Wróciły do domu w Broken Ground już razem, pojednane, z oczyma zaczerwienionymi od płaczu, lecz mimo to

promieniejącymi radością.

Reno Duvall nic nie powiedział na widok żony i szwagierki, tylko uśmiechnął się dyskretnie i chcąc dać im czas na długą, spokojną rozmowę w cztery oczy, poszedł zająć się końmi.

Maddie spędziła u Duvallów w Broken Ground resztę dnia i cały wieczór.

Przy kolacji, z lampką czerwonego wina, opowiedziała siostrze i szwagrowi o swojej wyprawie prywatną awionetką do Aspen, niefortunnie zakończonej przymusowym lądowaniem w sercu Gór Skalistych. O czterodniowej wędrówce przez dzikie górskie bezdroża w towarzystwie właściciela a zarazem pilota uszkodzonego samolotu, Lincolna Coryella, ranczera z okolic San Antonio.

- Lincoln Coryell? Taki wysoki brunet? - zainteresował się Reno.

- Tak - potwierdziła.

- Wysoki i przystojny? - wtrąciła pół żartem, pół serio

Caitlin.

- Tak - powtórzyła Maddie, dość mocno się przy okazji rumieniąc.

- Znam tego faceta - stwierdził Reno.

- Naprawdę?

- Zaraz, zaraz, czy to przypadkiem nie ten bogacz, któremu

sprzedaleś stare ranczo Duvallów? - skojarzyła Caitlin.

- Ten sam, kochanie! - przytaknął Reno. - Kupił tę ziemię bez targu, więc za to, co mi zapłacił, mogliśmy bez kłopotu zbudować nową stajnię w miejsce tej spalonej, kupić kilka dobrych koni pod wierzch i zacząć organizować ośrodek jeździecki, który sobie wymarzyłaś. Porządny z niego gość. Prawda, Maddie?

Madison zarumieniła się jeszcze mocniej niż przed chwilą i przytaknęła:

- Owszem.

- A sympatyczny? - zapytała Caitlin.

- W miarę - odpowiedziała Maddie i pochyliła głowę nad talerzem, żeby cioteczna siostra i szwagier nie spostrzegli łez, jakie nagle zakręciły się jej w oczach.

W domu, w fotelu, w samotności, mogła sobie popłakać już swobodniej, skrapiając łzami jedwabisty grzbiet trzymanego na kolanach pieska.

- Szkoda, że wcale mu na nas nie zależy, prawda

Hope? - monologowała ze smutkiem, rozmyślając o Lincolnie. - Szkoda, że za nami nie tęskni, tak jak my za nim. Szkoda, że nawet nie pamięta o naszym istnieniu;.

Następny dzień przyniósł jednak pewien dowód pamięci Linca Coryella o Maddie. Do drzwi jej domu w Coulter City zastukał bowiem już z samego rana młody kowboj z jego rancza, z



paczką zawierającą rzeczy, które była zmuszona zostawić przy uszkodzonym samolocie.

- Szef to wszystko pozbierał i właśnie pani przysyła, panno St. John - wyjaśnił młodzik. - I przeprasza, że dopiero teraz, ale zanim odszukał miejsce, gdzie cessa spadła tam w górach, zeszło mu ładnych parę dni. Wrócił dopiero wczoraj z Kolorado.

- Wczoraj? - powtórzyła Maddie.

- Zgadza się, panno St. John.

- Wczoraj wrócił.

- Nie inaczej! - przytaknął kowboj i wyraźnie speszony jej trochę dziwnym zachowaniem, czym prędzej zaczął się zbierać do wyjścia.

Skoro Linc Coryell wrócił wczoraj z Kolorado, to dzisiaj mógł do mnie sam przyjechać z tą paczką uzmysłowiła sobie Madison, kiedy została już sama. A skoro nie przyjechał, to znaczy, że po prostu nie chciał, skonkludowała w myślach ze smutkiem. Nie przyjechał, bo w ogóle nie chce mnie znać.

- A ja go kocham, wiesz? - szepnęła, zwracając się niby to do Hope, lecz w istocie po raz pierwszy otwarcie i jednoznacznie przyznając się przed samą sobą do stanu własnych uczuć.

Przez wiele kolejnych dni rozżalona Madison rozmyślała o Lincolnie, tęskniła za nim i wypłakiwała wieczorami swój żal i swoją tęsknotę w poduszkę albo w jedwabistą sierść Hope.

Równocześnie bardzo jednak dbała o to, żeby nie odgrywać się na nikim za własne uczuciowe rozterki, żeby odnosić się do wszystkich ludzi z bliższego i dalszego otoczenia życzliwie i przyjaźnie, innymi słowy, żeby nie stać się z powrotem tą odpychającą, arogancką - choć w głębi duszy wylęknioną i nękaną kompleksem niższości - złością, którą była w ostatnich latach.

Ponieważ przestała w obsesyjny sposób dbać o własną powierzchowność i nie spędzała już codziennie wielu godzin przed lustrem, nie bez zdziwienia odkryła, że ma mnóstwo wolnego czasu, który może z powodzeniem poświęcić na coś bardziej pożytecznego niż robienie makijażu i poprawianie fryzury.

A ponieważ przestała też w obsesyjny sposób gromadzić modną, markową odzież, drogie buty, ekskluzywne kosmetyki, zorientowała się, że ma w swoim bieżącym budżecie sporą nadwyżkę pieniędzy, które może przeznaczyć na jakiś szlachetny cel.

Po krótkim namyśle nawiązała więc kontakt z kilkoma działającymi w Coulter City organizacjami charytatywnymi i zgłosiła chęć wspomżenia ich gotówką oraz włączenia się do pracy w dobroczynności jako wolontariuszka.

Chciała pomagać ludziom. I chciała pomóc sobie.

Pragnęła wypełnić pustkę samotności czymś sensownym i

spróbować zapomnieć o tym, że znowu jest obojętna komuś, kogo kocha, że znowu została przez kogoś, kogo obdarzyła uczuciem, zraniona i odrzucona.

Kiedyś przez matkę. Teraz przez Lincolna.

Rosalind Hastings nie zainteresowała się ani trochę, dlaczego jej córka nie dotarła z zapowiadzaną wizytą do Aspen. Nie zadzwoniła nigdy więcej do Coulter City. Nie próbowała się dowiedzieć, czy przypadkiem coś złego nie przytrafiło się Maddie w podróży.

Linc Coryell również nie wysilił się na telefon, nawet najbardziej zdawkowy.

Dobrze, że chociaż Caitlin i Reno Duvallowie mieszkali niedaleko i pamiętali o osamotnionej kuzynce. I choć byli młodym małżeństwem, więc z pewnością wspaniale się czuli tylko we dwoje, zapraszali jednak Maddie dosyć często do siebie na ranczo Broken Ground, żeby mogła pojeździć sobie konno i spędzić trochę czasu w rodzinnym gronie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Oczywiście, Caitlin i Reno Duvallowie nie omieszkali zaprosić Maddie na wielki ogrodowy festyn, jaki zdecydowali się wyprawić z okazji oficjalnego otwarcia w Broken Ground rekreacyjnego ośrodka jeździeckiego. Oprócz Maddie, zaprosili na tę towarzyską imprezę na wolnym powietrzu mnóstwo osób! Wszystkich stałych i sezonowych pracowników rancza z całymi rodzinami. Wszystkich bliższych i dalszych sąsiadów - ranczerów. A także wszystkich znajomków z Coulter City, czyli mniej więcej połowę mieszkańców miasta.

Bagatela!

Wiedząc, że w Broken Ground będzie tłum ludzi w bardzo zróżnicowanym wieku, o bardzo różnorodnych gustach i portfelach, Maddie ubrała się skromnie i neutralnie, bez ekstrawagancji: w lekką jasną sukienkę, średnio - długą, górą dopasowaną, dołem lekko rozkloszowaną, z krótkimi rękawkami i niewielkim dekoltem.

Wyglądała w niej wyjątkowo świeżo i dziewczęco, tym bardziej że miała rozpuszczone włosy i bardzo delikatny makijaż, a na nogi włożyła sandały na zupełnie płaskim obcasie.

Maddie, choć przyjechała sama, w pojedynkę, czuła się w Broken Ground dobrze i bawiła się świetnie, gawędząc i żartując

po trosze ze wszystkimi: od pracujących u ciotecznej siostry i szwagra kowbojów, po burmistrza Coulter City.

Na festynie spotkała sporo znajomych osób i zawarła wiele nowych znajomości. Nigdzie w tłumie zebranych nie dostrzegła jednak mężczyzny, którego w skrytości ducha miała nadzieję tego dnia zobaczyć: Lincolna Coryella.

Wprawdzie ani Caitlin, ani Reno nie powiedzieli jej, że został zaproszony, ani też ona ich o to nie pytała, niemniej jednak miała jakieś uparte przeczucie, że...

I to przeczucie nie zawiodło jej! Około szóstej, a więc zdecydowanie później niż większość gości, Linc zjawił się w Broken Ground.

Najpierw przywitał się z gospodarzami, a zaraz potem zasiadł do podanej akurat kolacji przy jednym z wielu prowizorycznych drewnianych stołów, rozstawionych pod gołym niebem na obszernym tylnym dziedzińcu ranczerskiego domostwa Duvallów.

Oczywiście, Linc Coryell zajął miejsce nie przy tym stole, przy którym siedziała ona. Specjalnie? A może po prostu przypadkiem?

Bądź co bądź, przyjmując zaproszenie Duvallów nie musiał nawet wiedzieć, że Maddie St. John jest ich kuzynką i że również będzie obecna.

Kiedy zjedzono kolację, specjalnie sprowadzony przez

gospodarzy na ten wieczór aż z San Antonio zespół country chwycił za instrumenty i na zbitym z desek prowizorycznym parkiecie rozpoczęły się tańce.

Ktoś tam poprosił Maddie, potem ktoś inny, partnerzy kolejno się zmieniali. Miała powodzenie, krążyła więc po parkiecie niemal bez przerwy, wywijając na przemian to dziarskie teksaskie poleczki i walczyki, to znów stylizowane „raz na ludowo” rumby i rock and rolle.

Mniej więcej po godzinie, kiedy muzycy postanowili dać sobie i tancerzom nieco wytchnienia i zamiast kolejnego szybkiego kawałka, zaczęli grać jakiś wolny w typie nastrojowej kowbojskiej ballady, ktoś klepnął zamasyście w plecy jej aktualnego partnera, niepozornego z postury agenta ubezpieczeniowego z Coulter City i huknął basem:

- Odbijany!

W ten sposób Madison znalazła się na tanecznym parkiecie w ramionach Lincolna Coryella.

- Miło cię znowu widzieć, Maddie - stwierdził uradowany.

- Nie masz przypadkiem nic przeciwko, że cię odbiłem temu sztywniakowi?

- Nie, Linc. Mnie też miło - wykrztusiła.

- Już wcześniej chciałem z tobą zatańczyć, ale tak cię obskakiwali rozmaici miejscowi absztyfikanci, że nie mogłem się

do ciebie dopchać.

- Ależ to nie żadni moi absztyfikanci, Linc, tylko zwykli znajomi! - sprostowała.

- W takim razie, Maddie znasz mnóstwo ludzi w Broken Ground.

- Przecież tutaj na ranchu wszyscy się znają, tak samo zresztą, jak w Coulter City.

- Ja osobiście znam tylko gospodarzy, młodych państwa Duvallów.

- To moi kuzyni.

- Naprawdę?

- Miałyśmy z Caitlin wspólną babkę, a nasze mamy były rodzonymi siostrami.

- A to historia! - zdziwił się Linc. - Na oko nigdy bym się nie domyślił, bo ani trochę nie jesteście do siebie podobne z młodą panią Duvall. Ale ja jednak wolę blondynki - mruknął na koniec i trochę mocniej przycisnął Maddie do siebie.

Zrobiło się jej gorąco, choć równocześnie przebiegł ją zimny dreszcz.

Po raz kolejny musiała w duchu przyznać, że chociaż Lincoln Coryell wysławia się w niewyszukany i przy tym dość bezceremonialny sposób, ma jednak w sobie coś, co działa na nią jak magnes, co ją elektryzuje, zniewala i kusi: jakąś imponującą

wewnętrzną siłę, potężną, wyczuwalną na odległość, niespożytą energię.

Może to coś niezwykłego, jakiś nadnaturalny dar? - pomyślała trochę naiwnie w pierwszym momencie. A może coś najnaturalniejszego w świecie, choć wbrew pozorom wcale nie tak często spotykanego, czyli po prostu prawdziwa męskość? - nasunęły się jej po chwili już znacznie dojrzałe i rozsądniejsze przypuszczenia.

Tak czy inaczej, to tajemnicze „coś” podziało na nią na tyle silnie, że nawet w spokojnym tańcu brakło jej tchu i dostała zawrotów głowy.

- Wiesz... napiłabym się... czegoś zimnego - wykrztusiła przez zaciśnięte z emocji gardło.

- Chodźmy na piwo. Albo na jakąś lemoniadę - zaproponował Linc.

Nie czekając, aż zespół skończy grać melancholijną balladę, zeszli z tanecznego podestu i skierowali się do bufetu. Linc wypił małe piwo, Madison dużą lemoniadę z podwójnym lodem.

Ochłodziła się, owszem, a przy okazji również trochę uspokoiła. Wciąż jednak czuła się jakoś niewyraźnie.

Chyba musiała też wyglądać niewyraźnie, bo Linc zapytał:

- A może odwieźć cię do domu, Maddie? Pokręciła przecząco głową i mruknęła:



- Jeszcze za wcześnie. A poza tym, mam tutaj w Broken Ground samochód.

- Może chyba zostać u kuzynów, a my tymczasem pojechalibyśmy sobie razem...

- Nie! - odrzuciła propozycję, nawet nie pozwalając mu dokończyć.

W jej skołatanej głowie odezwał się bowiem nagle alarmowy sygnał, ostrzegający przed tym, że Lincoln mógłby zrozumieć zgodę na odwiezienie do domu jako zgodę na coś więcej.

A nawet - znacznie więcej!

A niczego więcej nie będzie, nawet maleńkiego całusa, bez konkretnej deklaracji uczuć z jego strony, obiecała sobie uroczyście. Jeśli mu na mnie nie zależy, to trudno, jakoś to przeżyję, ale niech sobie przynajmniej nie myśli...

- Tak sobie myślę, Maddie - odezwał się Linc, przerywając jej medytację - że jak tobie jest tymczasem ciut za duszno, czy co tam innego, to sobie teraz trochę posiedź na ławce i odetchnij, a ja się ruszę zatańczyć z gospodynią, bo wypada.

I odszedł.

Madison posłusznie przysiadła na ogrodowej ławce, jednej z kilku rozstawionych w pobliżu bufetu dla przemęczonych tancerzy i biesiadników.

Przysiadła, ochłonęła, wzięła kilka głębszych oddechów i...

dopiero zaczęła się na całego gotować ze złości i piorunować w duchu na Lincolna.

A to drań!

A to wstręciuch!

Nie zadzwonił!

Nie przyjechał!

Raz zatańczył i zniknął!

Najpierw dla przyzwoitości poprosi Caitlin, potem pewnie jakąś inną dziewczynę, i jak na ładną trafi, a dowie się, że jest wolna, to zaraz zechce ją do domu odwozić.

- Niedoczekanie! - syknęła. Zerwała się z ławki i ruszyła jak furia w stronę tanecznego parkietu.

Widząc, że Linc wiruje z jakąś szczupłą brunetką, ale bynajmniej nie z Caitlin, zdesperowana Maddie postawiła wszystko na jedną kartę.

Podbiegła do nich i krzyknęła:

- Odbijany!

A widząc, że brunetka nie ma specjalnej chęci rezygnować z przystojnego partnera do tańca, zignorowała ją, wyciągnęła natomiast rękę do Lincolna i spytała:

- Tańczysz ze mną, czy nie?

Buńczucznym tonem i zuchowatą miną rozbroiła go całkowicie. Parsknął śmiechem, skłonił się na przeprosiny

czarnowłosej dziewczynie i po raz drugi tego wieczora wziął w ramiona Madison.

- Wiesz, Maddie... - odezwał się po chwili.
- Tak?
- Słyszałem, że się ostatnio mocno zmieniłaś, złagodniałaś.
- Staram się.
- I widzę, że pietra przed życiem też już nie masz i umiesz

się o swoje upomnieć.

- Jeśli tylko mi zależy...
- Ano właśnie! I tak się powinno żyć - pochwalił ją. -

Spokojnie, ale jak trzeba, to ostro.

- Ja jestem ostra, jeśli trzeba - mruknęła Maddie. - Na przykład w Górach Skalistych wystraszyłam kuguara.

- Ale mnie nie strasz!
- Dlaczego?
- Bo nie chcę od ciebie uciekać.

Maddie z wrażenia aż zatrzymała się w tańcu.

- Tańczysz ze mną, czy nie? - rzucił Linc, powtarzając jej niedawne słowa i parodiując jej zawadiacki ton.

Maddie ruszyła dalej w rytm muzyki. Pozwoliła Lincolnowi prowadzić się trochę bezwolnie po parkiecie przez kilkanaście najbliższych taktów, przez cały ten czas rozmyślając gorączkowo, co powinna powiedzieć.

W końcu spytała po raz drugi:

- Dlaczego?
- Dlaczego, co? - zażądał uściślenia.
- Dlaczego nie chcesz uciekać?
- Nnno... Bo mi się podobasz, Maddie - odparł z cicha

Linc. - Lubię blondynki.

- Mało! - palnęła ostro ni stąd, ni zowąd, pod wpływem jakiegoś niezrozumiałego nawet dla niej samej impulsu.

- Bo cię lubię - dodał Linc, nieco głośniej.

- Mało!

- Jeszcze ci mało? - zdziwił się.

- Jasne!

- Zależy mi na tobie, Maddie - stwierdził na tyle głośno, że mimo ogólnego zgiełku wszyscy tańczący najbliżej zwrócili na to uwagę.

- Dlaczego? - wciąż z uporem domagała się wyjaśnień.

- Bo cię kocham, Madison St. John! - huknął zatem na cały głos swoim dźwięcznym basem Linc, zatrzymując się w pół kroku.

Na parkiecie zrobiło się w tym momencie cicho, jak makiem zasiał. Wszyscy tancerze stanęli w miejscu i przestali szurgotać nogami, orkiestra przestała grać.

Wokół Lincolna i Madison błyskawicznie uformował się krąg ciekawskich, którzy zastygli w oczekiwaniu na dalszy rozwój

wypadków.

- Tańczmy, bo głupio - szepnęła Maddie, gwałtownie pąsowiejąc. - Tańczmy, jakby nigdy nic.

- Nie! - mruknął Linc i wprawdzie przycisnął ją do siebie zdecydowanie mocniej niż dotąd, nie ruszył się jednak z miejsca.

Zgromadzeni na parkiecie gapie, spostrzegłszy z rozbawieniem, że zaczyna się dziać coś naprawdę ciekawego, jak na komendę klasnęli w ręce.

- Nie wygłupiaj się, Linc, tańczmy.

Kolejne zbiorowe klaśnięcie, donośny ostry trzask kilkudziesięciu par dłoni.

- Ale najpierw coś mi powiedz, Maddie, nie czekaj na oklaski.

Trzask!

- Co?

Trzask!

- Domyśl się.

Trzask!

- Niech tam! - Madison gotowa była w tym momencie zrobić wszystko, byleby tylko zakończyć krepujący spektakl, z nią i Lincolnem w rolach głównych i zejść ze sceny, czyli z parkietu, albo przynajmniej wtopić się z powrotem w tłum tancerzy. -

Podobasz mi się, Linc.

- Mało.

Trzask!

- Zależy mi na tobie.

- Mało.

Trzask!

- Lubię cię.

- Mało.

Trzask!

- Kocham cię, do stu diabłów!

Trzask, trzask, trzask, czyli burzliwe zbiorowe oklaski, prawdziwa frenetyczna owacja!

Biedna Maddie już za chwilę spłonęłaby prawdopodobnie ze wstydu, ale na jej szczęście przytomny perkusista uderzył w talerz, gitarzysta w struny, pianista podał kolegom tonację, wybierając jakiś akord i zespół zaczął grać posuwistego walca country.

Usatysfakcjonowany Lincoln poprowadził swoją partnerkę po kole, wyznaczonym przez krąg bijących im rytmicznie brawo gości Caitlin i Reno Duvallów.

Raz, dwa, trzy.

Trzask, trzask, trzask.

Raz, dwa, trzy.

- Tańczymy jak państwo młodzi na weselu - mruknął uśmiechem.

- Daj spokój, za chwilę spalę się ze wstydu, jak oni nie przestaną.

Raz, dwa, trzy. Trzask, trzask, trzask. Raz, dwa, trzy.

- No, zrób coś wreszcie - jęknęła Maddie.

Lincoln uśmiechnął się, cmoknął ją dla dodania otuchy w sam czubeczek nosa, a potem huknął donośnym głosem zawodowego wodzireja:

- Wszystkie pary tańczą walca razem z nami, proszę państwa! Wszystkie pary tańczą!

Rozochoconych gości nie trzeba było długo zachęcać. Jak na komendę ruszyli wszyscy w tany i pozwolili w ten sposób Lincolnowi i Madison najpierw skryć się w wirującym na trzy czwarte tłumie, a potem nawet zejść dyskretnie z parkietu i skryć się w mrokach ogrodu.

- Skoro już zatańczyliśmy jak państwo młodzi na weselu...

- odezwał się Linc, kiedy zostali sami, z dala od oczu ciekawskich.

- To co? - szepnęła Maddie, czując, że sytuacja robi się jeszcze bardziej ekscytująca niż przed chwilą, a dalszy rozwój wypadków zapowiada się wręcz sensacyjnie.

- To teraz przeniosę cię przez próg... - stwierdził Linc i porwał ją na rękę.

- Przez próg domu? - spytała.

- Na razie przez próg... stajni! - odpowiedział ze śmiechem.

I poniósł ją w stronę pachnącej świeżym drewnem budowli, wzniesionej przez Caitlin i Reno w miejscu tej, którą strawił pożar. Wzniesionej, nawiasem mówiąc, za pieniądze uzyskane ze sprzedaży ziemi Duvallów pod Sar. Antonio właśnie jemu, Lincolnowi Coryellowi.

Była gotowa przekroczyć z nim ten próg. Całkowicie gotowa.

Wniósł ją do środka i dopiero wtedy postawił na ziemi. Złapał ją za rękę i pociągnął po drabinie na pachnący świeżym sianem stryszek.

- To chyba najlepsze miejsce na noc poślubną dla kowboja z Teksasu i jego dziewczyny - mruknął zdławionym z emocji głosem, biorąc Maddie w ramiona.

- Raczę... noc przedślubną, kowboju - szepnęła, tuląc się do niego.

- Racja - przyznał - poślubna będzie w pościeli, jak się należy. A ta dzisiejsza, przedślubna, na sianie!

- Ty mi tu nie wykręcaj się sianem, kowboju, tylko mów zaraz, kiedy ślub! - palnęła ze śmiechem Madison.

- Jak najprędzej, bo już dłużej nie wytrzymam bez ciebie! - wykrzyknął Linc.

- Ejże? To dlaczego przez tyle czasu nie dawałeś znaku



życia?

- Bo chciałem cię sprawdzić, Maddie, chciałem się przekonać, czy po powrocie z gór do wygodnego domu w Coulter City nie zrobi się z ciebie znowu taka sama nadęta złoźnica, jak przedtem - wyjaśnił. - Tylko dlatego nie powiedziałem ci od razu, tam w górach, że na mnie działasz jak nie wiem co!

- Naprawdę?

- Jasne. I tylko dlatego nie przyznałem ci się już tam w motelu, w Colorado Springs, że zawróciłaś mi w głowie na amen.

- Nie bujasz?

- Ani trochę, Maddie! Zrozum, ja chciałem ci tylko dać jeszcze jedną lekcję.

- Ale sam przy okazji też dostałeś nauczkę?

- Na to wygląda. Chciałem trochę poczekać, ale mam już naprawdę dosyć - powiedział zabawnie żalonym tonem, namiętnie wzdychając i obsypując ją gorącymi, niecierpliwymi pocałunkami. - Nie mogę czekać, dziewczyno! Nie mogę już ani chwili dłużej żyć bez ciebie!

- To poproś mnie o rękę! - zarządziła rezolutnie Madison.

- Na co czekasz? Oklasków już teraz nie będzie, jesteśmy tu w stajni sami, nie licząc koni Duvallów.

Lincoln Coryell pacnął się ręką w czoło.

- No, racja! - przyznał. - Byłbym zapomniiał o

najważniejszym! Zostaniesz moją żoną, Maddie?

- Skoro tak ładnie prosisz, Linc, to może... - zaczęła się z nim droczyć.

- Mów krótko, złościco - postawił żartobliwe ultimatum. - Tak czy nie?

- Tak, kowboju! - krzyknęła. - Tak, tak, tak!

- Uff, nareszcie! No, to możemy sobie już śmiało dać buzi - stwierdził z wyraźną ulgą i znów z zapalem porwał ją w objęcia.

Licznie zebrani goście z Coulter City i okolic już dawno porozjeżdżali się do domów.

Gospodarze festynu - właściciele rancza oraz ośrodka jeździeckiego, którego otwarcie świętowano - Caitlin i Reno Duvallowie, już dawno starannie zamknęli za sobą drzwi swej małżeńskiej sypialni.

W całym, roztańczonym i rozbawionym od wczesnego popołudnia aż po późną noc Broken Ground zapanowała głucha cisza. Końskim zwyczajem - na stojąco - posnęły także wierzchowce w swoich boksach na dole.

A oni wciąż, na przemian, to namiętnie wyznawali sobie miłość, to baraszkowali bez opamiętania na sianie, to znowu, w krótkich chwilach odpoczynku, zaśmiewali się do rozpuku z przygód przeżytych wspólnie w Górach Skalistych, zwłaszcza z połowu ryb na sznurowadła i z szarży na drapieżnego kuguara z

kijem w garści.

Przed świtem zdrzemnęli się trochę na przytulnym, pachnącym sianem stryszku, a kiedy nastał ranek, wymknęli się ze stajni i zastukali do tylnych drzwi domu Duvallów, by zameldować się u Caitlin i Reno z wiadomością, że już wkrótce zamierzają się pobrać.

Scandalous

## EPILOG

Ślub Madison St. John i Lincolna Coryella odbył się sześć tygodni później, z udziałem Caitlin i Reno Duvallów jako honorowych gości, dwu setek innych weselników z Coulter City, San Antonio i okolic oraz miniaturowej terierki Hope, która domagała się uparcie, by podczas uroczystej ceremonii przyodziana w bielusię i tiule i koronki panna młoda, zamiast trzymać tradycyjny ślubny bukiet, wzięła na ręce ją, swoją ulubienicę.

Po siedmiu miesiącach z kawałkiem, licząc od dnia pamiętnego festynu w Broken Ground, na tym samym oddziale położniczym szpitala w Coulter City, dokładnie w tym samym dniu, obie kuzynki, Madison Coryell i Caitlin Duvall, wydały na świat córeczki.

Tak więc noc, która nastąpiła po festynie, okazała się podwójnie owocna.